



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik

Rok XXI

Nr 5(237)

Zelów, maj 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Joanny Chchuły, Izabeli Iwańczuk, Ewy Klajman-Gomolińskiej, Janusza Koniusza, Janusza Orlikowskiego, Weroniki Pyszyńskiej, Andrzeja Waltera, Klaudii Wiercigroch-Woźniak

Andrzej Dębkowski – *Kto posadzi drzewa?*

Leszek Żuliński – *Kocie wiersze*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja daje możliwość ocalenia*

Stefan Jurkowski – *Poprawni i bełkotliwi*

Andrzej Bartyński – *Od czasu do czasu*

Joanna Friedrich – *Belles letters.*

Z krainy pąsowej róży

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Jan Owczarek – *Ciągle wyruszamy z tych samych miejsc*

Magdalena Kapuścińska – *Niemieckie feniksy*

Henryk P. Kosk – *Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka (1)*

Wanda Nowik-Pala – *Sztuka życia*

Andrzej Walter – *Teraz widzimy niejasno, jak w zwierciadle*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Zygmunt Krzyżanowski - 130. rocznica urodzin pisarza

Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) zorganizował spotkanie z **prof. Natellą Baszyndżagian**, krytykiem i historykiem teatru z Moskwy, od wielu lat z uwagą śledzącą dokonania polskiego i rosyjskiego teatru, autorką licznych publikacji książkowych i prasowych, m.in. o takich twórcach polskiego teatru, jak: Jerzy Grotowski, Konrad Swinarski, Jerzy Grzegorzewski, Józef Szajna.

Spotkanie zatytułowane „Myślenie Szekspirem. Szekspir we współczesnym teatrze polskim i rosyjskim” w dużej części poświęcone było Zygmunta Krzyżanowskiego myślom o Szekspirze, z okazji zbliżającej się 130. rocznicy urodzin pisarza.

Autorkę zaprezentowała dr Wiesława Olbrych-Nawrocka, a wieczór poprowadziła Walentyna Mikołajczyk-Trzcńska.

Mowa była także o przygotowywanej książce zawierającej filozoficzne eseje Zygmunta Krzyżanowskiego na temat teatru szekspirowskiego, w tłumaczeniu i opracowaniu Wiesławy Olbrych-Nawrockiej, Walentyny Mikołajczyk-Trzcńskiej i bohaterki wieczoru – Natelli Baszyndżagian.

Wydarzenie zgromadziło liczne grono słuchaczy – w tym osób zawodowo zajmujących się związkami kultury polskiej i rosyjskiej, teatrologów, twórców i miłośników teatru.



Spotkanie miało miejsce w Domu Literatury w Warszawie dzięki uprzejmości Związku Literatów Polskich przy finansowym wsparciu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód oraz we współpracy Stowarzyszenia Współpracy Polska-Rosja.

Konkursy

VII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięciśła”

Rozstrzygnięto VII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięciśła” zorganizowany przez Filię Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu w Skomielnej Czarnej pod patronatem Wójta Gminy Tokarnia.

Po podliczeniu wszystkich wyników i konsul-

tacjach z Organizatorem, komisja konkursowa w składzie: Kazimierz Burnat (Wrocław) – przewodniczący komisji, Marian Cieślak (Skomielna Czar-na), Anna Garbaczowa (Stalowa Wola), Wiesław Zieliński (Rzeszów), postanowiła przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrody nie przyznano. II nagroda – Iwona Świerkula (Warszawa), godło: *driada*. III nagroda – Krzysztof Kokot (Nowy Targ), godło: *Benedyktynka*.

Wyróżnienia: Michał Witold Gajda (Wrzesnia), godło: *wadera*; Jerzy Lengauer (Kętrzyn), godło: *et arceo*; Izabela Monika Bill (Wrocław), godło: *Rozmaryn*; Paulina Wojciechowska (Sosnowiec), godło: *Beatrycze*; Piotr Zemanek (Bielsko-Biała), godło: *podmiot gatunkowy*.

Wyróżnienie Wójta Gminy Tokarnia: Andrzej Henryk Mielczarek (Wrocław), godło: *amilatek* – za wiersz: *Dziewięciśł*.

Do publikacji w tomiku pokonkursowym (*zostanie wydany po IX edycji w 2018 roku*), oprócz wierszy powyższych autorów, wybrano wiersze:

- Piotr Arent (Zbątkowo), godło: *Haxan*,
- Emil Biela (Myślenice), godło: *ZAWADA*,
- Danuta Czerniejewska (Wrocław), godło: *Havranka*,
- Tomasz Kowalczyk (Lublin), godło: *głoski do zabawy*,
- Mirosław Kowalski (Mysłowice), godło: *Kruk*,
- Mieczysław A. Lyp (Rzeszów), godło: *Podhalaneczek*,
- + wiersze niektórych laureatów i wyróżnionych z kategorii *O Nagrodę Wójta Gminy Tokarnia*.

Uroczyste podsumowanie konkursu odbędzie się w sobotę 14 maja 2016 roku o godz. 16.00 w Filii GOKiS w Skomielnej Czarnej.

Nagrody Literackie m. st. Warszawy

Anna Janko, Piotr Matywiecki, Justyna Bednarek i Daniel de Latour oraz Magdalena Kicińska zostali laureatami dziewiątej edycji Nagrody Literackiej m. st. Warszawy. Tytuł Warszawskiego Twórcy otrzymał **Eustachy Ryłski**.

Decyzją Jury nagrodę w kategorii proza otrzymała Anna Janko za książkę *Mała zagłada* (Wydawnictwo Literackie). W kategorii poezja nagroda trafiła do Piotra Matywieckiego za tom *Którędy na zawsze* (Wydawnictwo Literackie). W kategorii literatura dziecięca – tekst i ilustracje nagrodę otrzymali Justyna Bednarek i Daniel de Latour (ilustracje) za książkę *Niesamowite przygody dziecięciu skarpetek* (czterech prawych i sześciu lewych), wydaną przez Poradnię K., a za edycję warszawską nagrodzono Magdalenę Kicińską i książkę *Pani Stefa* (Wydawnictwo Czarne) – biografię najbliższej współpracownicy Janusza Korczaka, Stefanii Wilczyńskiej.

Najważniejszą i jednocześnie najcenniejszą, piątą kategorią nagrody jest tytuł Warszawskiego Twórcy. Pisarz nim uhonorowany otrzymuje 100 tys. zł. W tym roku tytuł Warszawskiego Twórcy przypadł Eustachemu Ryłskiemu, a dotychczas otrzymali go: Jarosław Marek Rymkiewicz (2015), Wiesław Myśliwski (2014), Joanna Kulmowa (2013), Janusz Tazbir (2012), Janusz Głowacki (2011), Marek Nowakowski (2010), Józef Hen (2009) i Tadeusz Konwicki (2008). Laureaci w pozostałych kategoriach otrzymują po 20 tys. zł.

W jury pod przewodnictwem Janusza Drze-

wuckiego zasiadają Grażyna Borkowska, Karolina Głowacka, Joanna Kulmowa, Krzysztof Masłoń, Anna Romaniuk oraz Rafał Skąpski.

Kandydatów do nagrody zgłaszają wydawcy, księgarze, bibliotekarze oraz czytelnicy. Wybierano spośród książek żyjących autorów, napisanych w języku polskim i wydanych w 2015 roku. Zgłoszono 350 tytułów w czterech kategoriach. Aż 149 pozycji zgłoszono w kategorii proza, w kategorii poezja – 93 tytuły, literatura dziecięca – 66 oraz edycja warszawska – 42.

Nagroda jest kontynuacją wyróżnienia o tej samej nazwie przyznawanego w latach 1926-38. Pierwszym jego laureatem był najstarszy syn Adama Mickiewicza – Władysław, ostatnim zaś (przed II wojną światową) Leopold Staff (1938). Nagrodą tą wyróżniono też wybitnych twórców, takich jak: Waław Berent (1929), Tadeusz Boy-Żeleński (1933), Pola Gojawiczyńska (1935), Maria Kuncewiczowa (1937).

W okresie powojennym istniały w Warszawie nagrody o podobnym charakterze (spośród laureatów warto przypomnieć m.in. Mirona Białoszewskiego, Kazimierza Brandysa, Ernesta Brylla czy Jerzego Waldorffa), nie było jednak konsekwencji ani w nazwie, ani w zasadach ich przyznawania. Nagroda Literacka m.st. Warszawy w obecnej formie przyznawana jest od 2008 roku.

XII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Michała Kajki

Dom Kultury w Orzyszu i Muzeum Michała Kajki w Ogródku – Oddział Muzeum K.I. Gałczyńskiego w Praniu ogłaszają XII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Michała Kajki.

W konkursie mogą brać udział wszyscy, niezależnie od przynależności do związków twórczych i stowarzyszeń, którzy na adres organizatora prześlą zestaw trzech niepublikowanych oraz nieocenianych w innych konkursach wierszy, opatrzonech godłem (pseudonimem), w czterech kopiach. Oczekujemy na prace w postaci maszynopisów lub wydruków komputerowych (rękopisy nie będą brane pod uwagę). Personalna i adres autora, również numer telefonu, ewentualnie adres mailowy, należy dołączyć w zaklejonej kopercie opatrzonej tym samym godłem i kategorii wiekowej.

Wiersze nadesłane na konkurs nie podlegają zwrotowi. O wynikach konkursu organizator powiadamia tylko laureatów. Zestawy będzie rozpatrywać jury w składzie: **Wojciech Gawłowski, Krzysztof Kuczkowski** – przewodniczący, **Sławomir Matusz**.

Zostaną przyznane trzy nagrody pieniężne – 2.000, 1.000, 500 zł. Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród. Wszyscy laureaci zobowiązani są osobistego odbioru nagrody, w innym przypadku przechodzi ona do następnej edycji konkursu.

Terminy: nadsyłania prac – do 20 czerwca 2016 roku; rozstrzygnięcie konkursu – 5 sierpnia 2016 roku; gala przyznania nagród – 10 września 2016 roku. Wybór nagrodzonych wierszy zostanie opublikowany w „Toposie” i „Gazecie Olsztyńskiej”. Adres: Dom Kultury, ul. Wojska Polskiego 5, 12-250 Orzysz, z dopiskiem „Konkurs”. Dodatkowe informacje: od godz. 8.00 do 16.00 pod numerem telefonu: 87 423 70 10.

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (12)

W tym miejscu pozwolę sobie na odskok. Otóż od jakiegoś czasu męczy mnie pytanie: po jakiego grzyba pisarz pisze? Pytanie to jednak męczy mnie krótko, gdyż odpowiadam sobie: pisarz pisze, bo ma coś do powiedzenia. Chciałby trafić do odbiorcy, ostrzec go przed popełnianiem błędów, ma nadzieję, że dotrze do adresata, który potraktuje go poważnie i przejmie się jego słowami. I tak samo powinno być z czytelnikiem: czyta, bo ma przed sobą ważny tekst.

Po tym wtręcie wracam do Orwella. Urodził się w 1903 roku, a umarł w 50. Był też publicystą. Po rezygnacji ze służby (1922-27) w brytyjskiej policji imperialnej w Birmie, podjął działalność pisarską w Paryżu i Londynie. W latach 1936-37 uczestniczył w wojnie domowej w Hiszpanii w szeregach anarchistów. W czasie II wojny światowej był korespondentem BBC; te doświadczenia uczyniły z Orwella pisarza politycznego o przekonaniach demokratyczno-socjalistycznych, przeciwnika wszelkiego totalitaryzmu, zwłaszcza komunistycznego w stalinowskim wydaniu.

Jak wielkim był przeciwnikiem, widać choćby po kłopotach z publikacją Roku 1984. Książka mogła się ukazać dopiero w 1949 roku, zatem ominęła go dzisiejsza sława. Czy mogła ukazać się wcześniej? Jak najbardziej nie! Nie, gdyż w owym czasie nie było odpowiedniego klimatu: obłudna Wielka Brytania i zaślepione Stany Zjednoczone wołały nie denerwować Wujaszka Joe. Jakkolwiek wiedziały o obozach przymusowej i katorżniczej pracy w Związku Radzieckim. Nie mówiąc o Katyniu. Wniosek? Lepiej robić interesy, niż drzeć koty. Lepiej żyć w podnóżkowej pozycji, niż przeciwstawić się złu. Bo gdy zło jest silniejsze od dobra, trzeba mu ulec, trzeba pogodzić się z bezczelną arogancją i wyprzeć się własnych ideałów. Tego nas nauczyl politycy. I uczą nadal.

To oni potwierdzają swoim działaniem „racjonalne” rozumienie reguł rządzących światem. To dzięki nim jesteśmy niefrasobliwą tuszczą. Dyskretnie sterowani, wyrzuci z honoru, patrioci coraz to nowszych generacji, solidni na rozkaz, pragmatycznie radośni – zmierzamy na szafot. Zawzięcie czapkując, fanatycznie i na ugiętych kolanach śpiewając – w błagalnym chórze – tryumfalną pieśń ułożoną przez dzicz. Takie mieliśmy ogłupiające początki dzisiejszych obyczajów.

To dyplomaci i politycy przerobili nas na bezwolną mielonkę z człowieczeństwa. Daliśmy się ponieść mirażom. Wcześniej, jak u

Orwella, zajęli się religią i przekształcili ją w śmiech; dowiedli, że Władza jest nieśmiertelna, a Bóg nie. Władza ustanawia i obala co chce, tworząc świeckie zakrystie; jest wszechmocna i co powie, tego nie ma na prawdę, lecz istnieje na niby.

Hipokryzja w krainach opisywanych przez Orwella jest produkowana na skalę masową. W wyniku wojny atomowej dotychczasowe państwa podzieliły się na trzy strefy wpływów. Jedna, to Oceania, druga – Wschód, trzecia zwana jest Eurazją. W Oceanii, gdzie rozgrywa się akcja antyutopijnej powieści, od niepamiętnych czasów toczono są boje. Od niepamiętnych, rozumieć należy dosłownie, ponieważ nikt już nie pamięta, kiedy się one zaczęły, dlaczego je wszczęto i o co się walczy. Władza zadbała o to, by nie wiadano o przeszłości.

Obowiązuje *hic et nunc*: przeszłość jest zakazana. Specjalne ekipy czyszciceli wydarzeń trudzą się nad jej zamazywaniem. Naginaniem faktów do zaistniałych sytuacji. Na froncie, w gospodarce.

Przy czym powiedzieć wypada, że pomiędzy tymi trzema obszarami nie ma różnic ideologicznych: wszystkie klepią biedę.

Jednak nie każdy, bo ludzie należący do władzy mają się niegorzej: prowadzą żywot prawie dostatni. Reszta, czyli proletariatus (w nowomowie zwany prolami) zajmuje się podręczną pracą i jest pogrążona w społecznej stagnacji. Niewykształceni, apatyczni, prymitywni, odarci ze złudzeń, zainteresowań i marzeń, wegetują z dnia na dzień. Lecz sęk w tym, że ludzi ścisłej władzy jest niewiele ponad dwa procenty.

„Archipelag GUŁag”

Aleksander Solżenicyn, autor tej książki, a zarazem jeden z łagrowiczów, poznał życie od upodłonej strony. Razem z innymi skazanymi doświadczył głodu i morderczej pracy. Wspólnie z pozostałymi wegetował pod presją, w stanie ciągłego zagrożenia, w atmosferze codziennych obaw o dalsze istnienie, jego dzieło było więc niczym kij wsadzony w mrowisko, poruszało bowiem temat trudny dla żyjących. Udowadnia w nim, że w imię przeżycia, człowiek godzi się na rozkład moralny; od chwili pierwszego zatrzymania poprzez oskarżenie, wyrok i namiastkę chwilowej wolności, los człowieka jest przesądzony. Pisze, że nic nie zależy od jednostki, a prawo, to cicha zgoda na bezprawie, bo nawet

umorzenie kary i rehabilitacja nie stanowią gwarancji całkowitego uwolnienia. I o tym jest jego dzieło.

Ale książki tej nie da rady czytać ciurkiem; trzeba – z przerwami, we fragmentach.

Często zabierałem się za jej lekturę i porzucałem ją wielokrotnie, bo nie byłem w stanie wchłonąć tak potężnej dawki pesymistycznych refleksji. Lecz powracałem, odnajdując w niej tyle nagromadzonych niepokojów, dusznej atmosfery i kafkowskiego nastroju bezsilności, iż po przeczytaniu wszystkich rozdziałów nie mogłem oprzeć się myśli, że powinna wejść do lektur obowiązkowych.

Uważa, podobnie jak Orwell, iż takie cechy, jak chwiejny charakter i chęć przeżycia ZA WSZELKĄ CENĘ, sprzyjają systemowi ideologicznej degeneracji narodów. W ten proceder zaangażowany jest cały partyjny aparat zmierzający do tego, by kosztem denuncjacji, a nawet wyparcia się własnej rodziny, osiągnąć cel: skłócić naród, zastraszyć go i zmusić do wzajemnej podejrzliwości, do wysuwania nieprawdziwych zarzutów pod adresem sąsiadów czy współtowarzyszy tragedii.

Jak Winston, orwellowski bohater Roku 1984, pisze, notuje, zbiera materiały, pragnie zostawić ślad. Nie po sobie, ale po czasach, których był świadkiem. Chce przekazać przyszłym żywym pieśń zabitych: przemawia w zastępstwie tych, co przedwcześnie zmarli nie wydawszy głosu, w imieniu zakatowanych, rozstrzelanych i skazanych na bojaźliwą wegetację, a przytaczając ich losy, ocalając je z otchłannej niepamięci, pisze z doskonałości, wyrwykami, od okazji do okazji, po kryjomu, w nerwowym oczekiwaniu rewizji. I jest to pieśń – dokument.

Mówi w nim o wszechobecności totalitarnych macek, katordze i największym, bo półtoramiesięcznym powstaniu więźniów zakończonym ich zabiciem (700 osób). W ten sposób tworzy obraz sowieckiego zbydlęcenia.

Twórca tej kroniki pisanej emocjonalnym piórem, tego kalejdoskopu wydarzeń, z których można się wiele dowiedzieć o ludzkich przywarach, rejestruje fakty poddając je drobiazgowej analizie. Przedstawia wszechstronne, dogłębne i profesjonalne metody niszczenia ludzi. Ilustruje pokrętne ścieżki chorych sposobów myślenia. Wwiera się w każdy zrelacjonowany i udokumentowany fakt.

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Pisze o ubezwłasnowolnieniu i zacieklej ingerencji jednego człowieka w życie mas. O mechanizmach komunistycznej władzy i przesiedlaniu całych narodów. Opisuje proces zamiany normalnych ludzi w stadną dziczą przyczyną do przejawiania nieufności, w pobekującą gromadę pokornych owiec wyszkolonych do życia w bojaźni. Jeden człowiek, to Józef Stalin, Ksenofobiczny Hurtownik Zagłady i Rzeźnik Narodów. Dlatego przytacza wypowiedzi naocznych obserwatorów tamtych faktów. Mówi, że despota nie był sam, miał przecież do dyspozycji gigantyczny aparat, wielką i usłużną armię wykonawców zbrodniczych poleceń, służbiste zaplecze fanatycznych pomagierów.

Prymitywną i zaślepioną czeredę partyjnych lokai, ludzi, którzy pewnego dnia też utracili swoje lukratywne pozycje i w efekcie złośliwego kaprysu wodza, podejrzani o cokolwiek, zostali zdegradowani, zastąpieni przez lepszych bandytów, a zasilając gigantyczne szeregi więźniów, stawali się częścią jego planu zagłady.

Solżenicyn poświęca wiele rozdziałów zbiegom z obozu. Przedstawiony przez niego świat niewolnika, to nieprzerwanie mroczna, wroga, najeżona przeszkodami kraina grozy. Pokonać ją mogą wyłącznie silni, sprytni i zapobiegliwi. Słabi i wycieńczeni przez głód, nie mają szans.

Jego tekst jest stylistycznie nierówny, poszarpany, nerwowy. Pełno w nim powtórzeń i emfazy. Nie ma w tym jednak niczego dziwnego, ponieważ ogromne to dzieło tworzone było w warunkach niesprzyjających precyzji: jak się wyraził, napisał je rozdyszanym piórem. Powstawało w narzuconej atmosferze pośpiechu, w świadomości, że każdy moment pisania może być przerwany i zaowocować – raptownym nieukończeniem dzieła. Lecz ta stylistyczna nerwowość zapisu nie jest wadą książki, ale jej ZALETĄ: świadectwem czasu tworzenia.

Aleksander Solżenicyn, zastanawia się nad przyczynami stanu rzeczy, a oskarżając narzucony system polityczny, otwiera nam oczy i każe patrzeć na rzeczywistość przez pryzmat więźnia.

Stwierdza, że nawet uwolnienie stanowiło fikcję i nie było gwarancją wolności: swoboda była zaledwie okresem przejściowym, fantomem, kolejnym etapem naiwnych mamideł i egzystencjalnych dylematów. Dożywotnym znamię, trwałym urazem i niezabliźnioną raną. Kto posiadał taki stempel, ten nie miał żadnych praw. Na przykład do zamieszkania poza wyznaczonym rejonem. Do pracy zgodnej z wyuczonym zawodem.

Do życia niesprzecznego z ambicjami.

Znamię skazanego determinuje postępowanie. Wypalone na psychice, sprawia, że

znajduje się w stanie ciągłej rejterady. Gdy ucieka z katorgi, paraliżuje go strach. Przed denuncjatorami z obozu i miejsc poza nim, przed niełaskawą, drapieżną, śnieżną lub stepową przyrodą, bezkresną głuszą pustynnych przestrzeni, przed chętnie omijanymi, niegościnnymi siołami.

Kto zażył rozkoszy bycia aresztowanym i skazanym na odsiadkę, ten po kres swoich dni z lękiem oglądał się na boki, a spodziewając się od losu tylko niesprawiedliwości i braku szczęścia – trwożliwie patrzył w niepewne jutro. Uwolnienie było więc dla niego zaledwie przedłużeniem kary i namiastką swobody.

Powiada, że kto był katorżnikiem, ma na czole i w duszy wypalone, dożywotnie piętno człowieka winnego bez powodu. Pieczęć nazywaną uczenie – syndromem obozowym.

Recenzja, którą chciałyby napisać

Artysta na dziś, projektant fabuł o usługowym charakterze, zeszepony owczym smakiem heros, piszczący pod stołem, nawykły gościć się z rzeczywistością, miękki, cichy i lokajskiego usposobienia, bufon z moralną skoliozą, to magazynier zbeletryzowanych banałów, referent i fabrykant standardowych repetycji z lektur trzeciej ręki: martwy za życia i nieobecny po nim; stanowi przeciwieństwo mojego bohatera, którego twórczość wymyka się wszelkim arbitralnym stwierdzeniom, a biografia otwiera czytelnikowi furtkę do snucia przypuszczeń. Wcześniejsze, nie zapowiadają późniejszej głębi. Są niedojrzałe i nieporadne.

Obecne stanowią rezultat jego pracy: nad sobą i własnym warsztatem. Dopiero decydując się na publikację książki, staje się twórcą.

Mam napisać jej recenzję i jestem w kropce. Trudno nie zgodzić się z krytykami, którzy zawyrokowali, że prozatorski dorobek autora wymaga gruntownego prześwietlenia, bo napisana przez niego książka jest niezupełna: poetyczna muzyka jego opowiadań skonstruowana jest z niedomówień; brakuje w nich jednoznacznych faktów, a luki po, wypełnione są spekulacjami.

Lecz mimo tych krytycznych opinii uważam, że nie wady to są, ale zalety: podobnie jak tworzona przez niego proza jest początkiem, kanwą, inspiracją i zachętą do poznawania bezkresu wspomnień, którym ulega, jest ponawianą i ciągle intensyfikowaną próbą wejścia w nastrój szkicowanych jego piórem opowiadań.

Sądzę, że autor omawianej książki nie ogranicza się do podawania czytelnikowi nagich faktów: otwierając mu oczy i serce na swój świat, skłania go do przemyśleń, zwraca mu uwagę na zarysowany problem.

Dostrzegam w nim stylistę znajdującego się w stanie ciągłej ewolucji, będącego pod

presją rozwoju. Presja jest warunkiem jego istnienia, drogą do osiągnięcia doskonałości wyrazu i specyficznego przekazania wielowarstwowej treści w tak skonstruowanej formie, która, widziana w jednym zapisie, mogłaby odzwierciedlić wiele ukrytych intencji. Fragmentaryczność jego utworów nie tylko jest wynikiem niedoskonałości pamięci; jej okruciny przybierają formę wędrówek przez czas. Ułożone w cykl, stanowią całość, zwarty, lecz niedokończony i w ten sposób nigdy niezamknięty system ciągłych powtórzeń. Powtórzenia, uświadczenia, próby nawrotów do źródeł przeżyć, do młodości zachowującej w niedoskonalą pamięci zaledwie strzępy emocji, obrazów i ich ewolucyjne zmiany powstające w pisarzu pod wpływem wewnętrznego rozwoju, są dla niego tworzywem, obsesją, drogą do samopoznania. Stąd można odkryć w jego pisarstwie tyle powracających motywów.

Słowa, miejsca, wątki, refrenowe sformułowania odnoszące się do różnych partii opowiadań, zawierają się w pozostałych. Bohaterzy ulegają zmianom razem z nimi, są, jak ich twórca – uzależnieni od kontekstu; co innego prezentowali sobą w czasie fizycznym, a w czasie psychicznym mają w swych wnętrzach inne wartości. Według autora, czas psychiczny można pojąć tylko poprzez nieustanne mnożenie tych samych wersji zdarzeń, poprzez konfabulowanie ich opisów; poznawanie świata polega na ponownym sklepaniu jego fragmentów, ułomków, odprysków, na uporczywej rekonstrukcji zdarzeń, łączeniu ich w jedno i budowaniu z nich mozaiki.

Narracje wymagają od czytelnika wysiłku, skupienia, wzmoczonego namysłu. Zapraszają do aktywnego odbioru, do współuczestnictwa w świecie reminiscencji. Mają charakter pamiętnikarski, zresztą pamięć, przypomnienia i czas, grają w nich niepoślednią rolę. Kadłubowe, zdarte i nadwątlone niepamięcią szczegółów, znajdują się w ciągłym ruchu; pojawiając się niczym snop światła, regenerują, a znikając w mroku – penetrują nieznanne wymiary rzeczywistości i wywierają wpływ na jej ostateczną ocenę.

cdn.

Marek Jastrząb



MNIJ WIĘCEJ (135)



Foto: Zofia Mikula

Kocie wiersze

No, ten tomik to była woda na mój młyn. W wierszach tych snują się koty, mruczają koty, prężą grzbiety koty. A Czarny Kot jest tu najważniejszy i najcudowniejszy. Czytałem te wiersze na głos Ramonce – mojej beżowej kotce rodem z Persji. Też mruczała z zadowolenia... Szyborska – myślę – byłaby tym tomikiem zachwycona.

LESZEK ŻULIŃSKI

Tomik wieńczy posłowie Wojciecha Kassa. W nim Kass m.in. pisze: *Kot debiutantki woła: „O! ja to wiersz”. Gdzie indziej przechodzi po pustej kartce i zostawia ślady poezji. Szacunek dla Tajemnicy i świadomość, że wiersze dzieją się na granicy Tajemnicy oraz semantyki, czynią z debiutantki poetkę.* Przy okazji Kass przypomina także sławnego kota Behemota, koty Eliota i tego nieszczęśnika w pustym mieszkaniu Pani Wisławy. No więc widzicie, że sprawa jest poważna i może odbić się szerokim echem po dachach i piwnicach.

Ale *ad rem*... Ten cykl jest bardzo zwarty i konsekwentny. Czarny Kot od początku do końca dyktuje te wiersze. Sedno autorskiego pomysłu polega na tym, że zderzają się tu dwa kosmosy. Pierwszy należy do autorki, ale jakby ustawiał się w cieniu, był na drugim planie, zaś drugi kosmos to Świat Kota. Domniemany, ale bardzo wiarygodny. Kot jest tajemnicą dla człowieka, a człowiek zapewne dla kota. I to zderzenie odmiennych galaktyk stanowi *clou* tego cyklu. Ta wzajemna koegzystencja jest tu wspaniale rozegrana. I z wielkim wdziękiem, dowcipem, jak np. w wierszu pt. *satyra na bardzo długie nogi (mogą być własne)*. Cytuje w całości: *to jedyna ładna część / jaką obdarzyła cię natura // krew ma dłuższą drogę / i stopy ciągle zimne // dostałaś je być może / z powodu Czarnego Kota // przecież nie będzie ocierał się o byle co.*

Jednak sednem sprawy nie są takie wdzięczne wierszyki. Ma rację Wojciech Kass

wspominając w swoim posłowie o Panu Cogito. Czarny Kot, podobnie jak bohater Herberta, jest filozoficznym znakiem zapytania. W tym przypadku pojawia się kolejna relacja między biocenozą istnienia a ludzkim, kocim i każdym innym bytem ontologicznym. Mając wspólny świat, mamy inne z nim relacje i inne spectrum postrzegania. Zwierzęta i ludzie żyją w jednym domu, a jednak nie takim samym. W rewirze takich obserwacji i domniemań dzieją się te wiersze.

Joanna Chachuła porusza się w galimatiasie tych okoliczności fantastycznie. Niczego nie komplikuje, trzyma się szlachetnej prostoty i w prostym języku zderza te dwa kosmosy. Dla przykładu taki krótki wierszyk: *czy można usłyszeć / słowa ważniejsze od: / chwala Bogu Wszemchmogącemu? // tłusta mysz? / podpowiada Czarny Kot.* Jest w tym epigramaciku żart, dowcip, ale jest też tak ogromne zderzenie aksjologiczne, tak ogromna alternatywa, taka różność „filozofii istnienia”, że o tym małym wierszyku można by napisać niemały esej.

Inny wierszyk, pt. *pytanie zasadnicze: Czarny Kot wskazuje na kolana / patrzymy na deszcz / mruczy // kochasz // ni to pytanie ni stwierdzenie / ogon drży przez chwilę w półmroku / w oczekiwaniu // kochasz.* No proszę, jaka prosta sytuacja: Pani z kotem na kolanach wpatrują się w deszcz, diabli wiedzą, czy tak samo go postrzegają, ale to tu nieważne, bo ważne jest to, że łączy ich miłość.

Jakie proste sensy i jak prosto wypowiedziane. Jakiś banał, a jednak niebanalny. Nadzieje na owo „kochasz” jest tu czymś ogromnie pięknym i fundamentalnym.

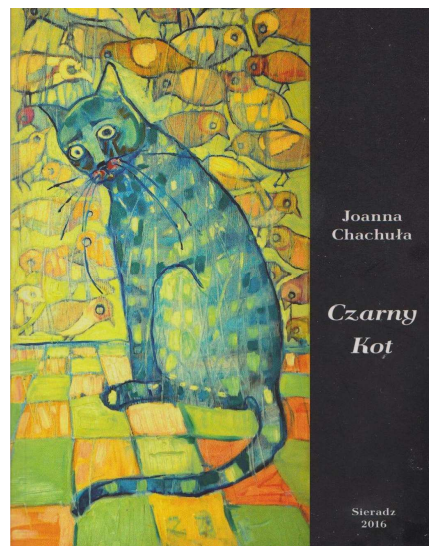
Kolejny wiersz – pt. *noga na nogę: boli nie ta co dynda swobodnie / lecz ta stanowiąca podstawę / czyli frywolna ma łatwiej / od wspartej twardo na ziemi // Czarny Kot wskazuje na kolana / wprowadza zasadę normalności.* Ha!, kolejna scenka niby o niczym, niby banalna – ot, swoista „scenka rodzajowa”. A przecież jest to wiersz o magicznej sile terapeutycznej kotów. I o tym, jak pięknie ta para z wiersza siebie nawzajem potrzebuje.

To, że Chachuła jest „kocią mamą” wydaje się oczywiste. Ale ten zbiorek stanowi pewną manifestację, bowiem jego monotematyczność i czułość (nieprzerysowana) są spektakularne. Przy równoczesnej dyscyplinie słowa, bowiem te wiersze są proste, komunikatywne, czułe – bez słowotoku. W zasadzie ascetyczne. No i jednak w tej prostocie zmieściło się coś bardzo trudnego: nasza koegzystencja z „braćmi mniejszymi” i nasz różnorodny „model egzystencji” w tym samym świecie. Świat jest jeden, ale może dla każdego bytu inny? Z tego mogłyby by wybuchać różne wojny, na szczęście wojna z kotami nam nie grozi. Kochamy się. I tutaj to zostało pięknie i mądrze opowiedziane.

Mitologia kotów narodziła się już w kulturze staroegipskiej. Kotom od wieków człowiek przypisywał jakieś „predyspozycje metafizyczne”. W tym jest pewna nadzieja: może

one widzą i słyszą więcej niż my? Może ten świat, jaki wspólnie mamy, jest światem innym dla każdego istnienia? Zapewne niebo i piekło kotów są inne niż niebo i piekło człowieka. Może inna jest także transcendencja i teleologia bytów? Ja jestem racjonalistą, więc podchodzę do takich dylematów z dystansem, jednak... Och, zjechałem na pobocze – tak ten tomik pomieszał mi w głowie. To trochę także przez moją Ramonkę, z którą współżyjemy w jednym gospodarstwie (i w jednym łóżku – a jakże!) od 17 lat. Napisałem o niej kilka wierszy, ale teraz zazdroszczę Pani Joannie... Ona chyba wie coś więcej ode mnie w wyżej opisanej sprawie...

Ale wracamy z tych didaskaliów do sedna: tomik (powtórzę: utrzymany w wyjątkowej prostocie) jest piękny i mądry. Jeszcze raz udała się ta stara, acz skądinąd trudna sztuczka: nie łapać się prawą ręką za lewe ucho, szlifować prostotę aż do bólu. Nie robić z rzeczy małych rzeczy wielkich; one same uczynią się wielkimi, jeśli drzemie w nich sens, miłość, czułość i wiara. Dlatego ten debiut – taki „prościutki”, taki „zwyčajny” zrobił na mnie wrażenie. Pozdrawiam Panią Joannę i jej Czarnego Kota – zostaną mi w pamięci.



Joanna Chachuła, *Czarny Kot*. Stowarzyszenie Kreatywny Sieradz, Sieradz 2016, s. 52.

Joanna Chachuła

Czarny Kot rozmawia z przyjaciółką
Trójkolorowa Kotka jest starsza
bardziej rozważna

nie lubi pośpiechu i zmian
dlatego nie zadaje się z czarownicami
choć znała kiedyś jedną

wtedy zrozumiała
że zemsta rodzi się
zawsze z miłości

Ewa Klajman-Gomolińska

Zmarłe wiersze

Nigdy nienarodzone
W powolnym dworskim tańcu Fenomen
nagłej śmierci
Zabite chwilą sardonicznego grymasu areny
Też w krajach rozwiniętych W
prowincjonalnym miasteczku W łonie
Wiersze rozmawiają ze światem zmarłych
Mają przeciwstawne kciuki Tkankę łączną
i podporową
Twórczość opozycyjna z istotą
międzykomórkową
Poczęte w bitwach o ja jestem ja Wyobraźnię
Wyzwolenie siebie
Poronione w zbrojnych starciach sił Z ręki
podniesionej na wiersz
Samospelniającego się proroctwa
Mimowolnie rysowanego kredą na porach
roku
Niemożliwe do weryfikacji Transkulturowe
Multikulti Prochy ziemi
Pozy efekty duchy manewry natarcia
Stygmatyzujące cherlawy byt
Wędrowną z wódką Tańszym winem Moją
prywatną sprawą
Przesycone erotyzmem strefy przygraniczne
wiersza
To pierwsze ofiary rytuałów ataków frontów
Głodne ptaki otwierają rany
Udziwniają sobą śmierć wierszy Szlifują
produkt uboczny
Szybą wypada Z tawerny wypływa czas Jonasz
nie zawraca
Pokłosie
Każda burta ze szczeliną liczy się z okiem
Ankou.

Andrzej Walter

Gra w zjawiska

Dlaczego wciąż niewidomy przenikam
światy, byty, wyobrażenia,
chcę wnikać w wasze mury,
nie potrafię.
Zaczynam malować pola niewidzialnej mgły,
która słońce unosi się nad domami,
kiedy głęboko oddychają
czerstwą samotnością.
Bywa, że znikam niewyraźnie rozmyty
naiwną,
dziecinną, troską o znaki horyzontu
wskazujące zawsze którąś stronę,
zawsze inną niż możliwa.
Bywa że rozpraszam mętne sygnały

dla głodu bólu i wyczerpania,
co chadzały zawsze boso
i tylko brzegami ściernisk.

Chcę wyraźniej widzieć, nie widzę, chcąc
uciekać
– zatrzymuję się.
Zawsze w połowie drogi.
Zawsze bardziej obcy.

Ale to tylko gra.
Totemiczna gra z zasłoną rzeczywistości. Kruszący
się mur
idealizmu.
To tylko gra
ze światem

bezmysłna głupia gra o coś
w rodzaju duszy.

Janusz Koniusz

Wiara

Po wygłoszeniu kazania
jakiego nigdy nie słyszano w katedrze Notre
Dame
otwarł na oścież świątynie Paryża
by głodni przystąpili do stołu pańskiego
Podczas szturm na gólgotę Bastylli
rażony elektryczną włócznią
po bruku Jerozolimy
krwią miłosierdzia spłynął
do plwocin Sekwany
ze stosami herezji po obu brzegach miasta

Według świadectwa Mateusza
Bóg go opuścił na szafocie Ewangelii
bo co się miało wypełnić
to się wypełniło
w niebie i na ziemi

Jedynie w przytułku świętego Kazimierza
przy wielkanocnym śniadaniu
uchodźcy spod gilotyny
zachowali wiarę
w pustą grób zbawienia

Z raportu Piłata

Na ścianie płaczu
napisał w trzech językach
że król żydowski
zmartwychwstał
i na przedmieściach Jeruzalem
naśmiewa się z boskości cesarza

Oszczercę
po zakuciu w dyby
Piłat bez obmycia rąk
skazał na krzyż

rozgrzeszeń bezczynny od wielkiego piątku

W raporcie do Rzymu
liczbę ukrzyżowanych w Judei
dla spokoju sumienia
pozostawił bez zmian

* * *

Prochom Józefa Czechowicza

Trafiony bombą
w ślepych stallach języka
którego w pospiechu
uczył się jak ognia

Pozostawił po sobie
ocalałe z pożaru
żywe ciało
wierszy
składane mu w ofierze
w rocznicę urodzin i śmierci

O kochankach z Werony

Przy otwartej kurtynie bez cienia intymności
nie poczną potomstwa
gdyż obraziliby majestat rzymskiego prawa
a z każdym sezonem turystycznym
coraz w nich mniej wrzątku krwi

Z iskrą róży z rajskiego ogrodu
przy każdej okazji
uciekają przed naszym wzrokiem
żeby bezpotomnie
nie zejść z tego świata

Profesjonalista

Prochom S.J. Leca

Anioł go kuśił
by zaprzedał się diabłu
diabeł się modlił
by posłuchał anioła
a on
przez całe życie
dławił się ślinotokiem słów
wysysanych z mięśni języka
na codzienne potrzeby
nieba
piekła
czyśćca
i własnego zbawienia
z którym w królestwie niebieskim
nie wiedział
co zrobić



Weronika Pyszyńska

Czuję

Nie pisze, że
uśmiech
radość
słońce
miłość
ale czuję
Nie martw się.

* * *

Wędruję
między
Stertą talerzy
Rozlanym lakierem do paznokci
Szafą z lustrem
A butami z wyprzedzący
Wędruję pustymi pokojami
Między kotem, a psem
Między mną, a Tobą
Ciągłe zagubiona
Odnaleźć nie mogę
nie wiem
Gdzie mój dom

* * *

Wegetuję dniami
Chcę latać codzienność
która już nawet
nie jest moja
Płacę nocami
choć wiem
że łzami
nie zatkam dziury
w swoim życiu

Izabela Iwańczuk

Panterka espresso

w śnie sarny
budzi się pantera

przeciąga się w ustach
rozpuszcza się w ramionach

na spodeczku tańczy

parą muzykalni
E-genialni

jak skrzypce i smyczek

na twoich palcach tańczą krople
maj kąpie się w filizance

Ja ważka słów tworzę miłość

w niemym filmie wiersza
wersami osiadam na rzęsach
kobieta ma mężczyznę i odwrotnie
tak już będzie
nawet jeśli będziemy w błędzie
ponad wszelkim dźwiękiem
bez końca bez początku
owocująca winorośl

Łasiczka

w rytmie zwolnienia L4
rodzisz zdrowe wiersze
po pracy otwieram je kluczem wiolinowym
aby owinąć ciebie
wokół ćwierćnut szyi

Kiedy miłość

idzie do nas przez labirynt
płynie rozdwojoną linią bioder
wtedy schodzę do ciebie oddechem

przebierając w dźwiękach
ocieramy się o kocie ciała
słów abyś mógł przystąpić

jak
Apollo

do liry moich bioder

Odnowa

w refren ciała ust słonecznik wznosisz
pod czarną koronką poświęta księżycu

natchnieni bez natchnienia
żeby spotkać się

pocałunkiem zawiesiły się usta jak
obłok snu nad ekranem ciała

wierzmy w magiczną siódmkę
nasze imiona i nazwiska
mają po siedem sylab

jest jakbyś umarł
od własnej broni

17.04.2007
rozkwitł pierwszy list

5.07.2007
przeszliśmy na ty

1-5.07.2013
wpadłeś w dołek

6-7.07.2013

zatomowałeś miłość
i gitara szumi
poszarpane struny sen nasz budzą

natchnieni bez natchnienia
mówią E na do widzenia

dnia siódmego Bóg odpoczął

13.07.2013
płynie miłość

17.07.2013
połączyłam niebo z ziemią kupując
błękitno-czarno-srebrną damkę Lirykę

wychodzę z dołka
jak rozśpiewany nietot
ciszę tnie sopilka

Antytren

kremowe chryzantemy muskają ciemny
granit
ogień znicze donice
zęby śmierci zręby osty mróz
włosek po włosku

nie pochowam miłości

lampionem świeci się
wieczna dioda myszki

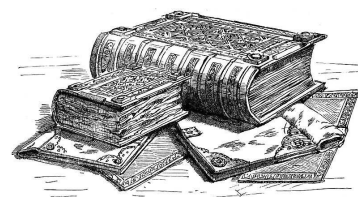
nie jesteś ostateczny
czuję cię na końcu języka
i słyszę jak
trąbkę w deszczu

w trumnie laptopa
ogień trawi twoje imię

zbudź się dotknij
wtul usta w moje zazdrostki

Erotyk na przyszłość

po zimowej olimpiadzie milczenia
nawracasz mnie na wiosnę
tanecznym krokiem pokonujesz
dystans i samotność
przynosisz bukiet uśmiechów
medale zmysłów we wszystkich kolorach
jesteśmy parą nie od dziś
za chwilę zaczniemy swoją nocną
popisową jazdę figurową
nie zabraknie gestów ani słów



Magdalena Kapuścińska

Niemieckie feniksy...

I wojna światowa dobiegła końca, choć w dziełach literackich wciąż trwa. Erich Maria Remarque, który wrócił z frontu zostaje terroryzowany przez niemiecką propagandę, która celowo rozpowszechnia plotki, że jest on potomkiem francuskich Żydów, a jego prawdziwe nazwisko brzmi Kramer. Zarzucano mu także bierny udział w służbie wojсковej podczas wojny. Wszystko to dlatego, że w powieści „Na zachodzie bez zmian” bezlitośnie zdemaskował fałszywy heroizm wojny. Antywojenna wymowa utworu wprowadziła nazwisko Remarque na listę wrogów Niemiec, a jego dzieła skazano na spalenie wraz ze stosem pozostałych książek, zdaniem Goebelsa zagrażających ideologii Niemiec. Erich Maria Remarque dość wyraźnie został naznaczony piętnem wojny. Został zmuszony do ucieczki z Niemiec, do których nigdy już nie powrócił, odebrano mu obywatelstwo niemieckie, zgilotnowano mu młodszą siostrę. Późnym latem 1937 roku w Wenecji zakochuje się z wzajemnością w Marlene Dietrich (Maria Magdalena Dietrich). On, weteran wojenny, świetny pisarz, ostatni romantyk i ona, zdystansowana i wyważona w emocjach z racji solidnego pruskiego wychowania gwiazda międzynarodowej sceny. Podczas II wojny światowej Dietrich występowała na frontach dla amerykańskich żołnierzy wypinając się tym samym na rządy nazistów. Oboje nienawidzili nazizmu, z którym musieli walczyć. Z tego paroletniego, ognistego romansu zrodziły się najpiękniejsze miłosne listy XX wieku. Remarque uciekł do Szwajcarii, później do Francji. Niespełna rok po tym, jak odebrano mu niemieckie obywatelstwo wyemigrował do USA, gdzie stał się swoistym kronikarzem życia ludzi, którzy zostali, podobnie jak on, zmuszeni do emigracji. Pomimo że był w dużo lepszej sytuacji materialnej niż tysiące innych wygnańców doskonale potrafił ująć ich dramat w swoich powieściach. Wszystkie swoje książki napisał w języku niemieckim, choć doskonale posługiwał się angielskim. Wiele jego powieści zostało zekranizowanych. Mimo że operował zwięzłym, zimnym stylem, uważany był za romantyka. Czy ktoś dzisiaj potrafi tak kochać jak wczorajszy Remarque w listach do Dietrich?

W myśl akcji *Przeciw antyniemieckiemu duchowi* biblioteki zostały oczyszczane z destrukcyjnego piśmiennictwa. Rozpoczęto oczyszczenie niemieckiego języka z żydowskich naleciałości. Z początkiem maja studenci zaczęli konfiskatę publikacji uznanych przez nich za antyniemieckie. Organizowano

uczelniane wiece. Kulminacyjnym punktem było publiczne palenie książek w licznych niemieckich miastach uniwersyteckich. 10 maja 1933 roku, po zapadnięciu zmroku pochod z pochodniami podpalili stos nieprawomyślnych książek.

Nazistowskie prześladowania niemieckiej inteligencji i opozycji nabrały rozpędu. Późnym majowym wieczorem w centrum Berlina dzieła wielu pisarzy stały się ofiarą ognia. Obok studentów, w paleniu książek uczestniczyli rektorzy i profesorowie. Sporządzono długą listę niepomyślnych dla nazistowskiego systemu książek, które przeznaczono do spalenia. Autorów głównie posądzano o zdradę, szkalowanie uczestników I wojny światowej, defetyzm, niszczenie niemieckiego języka, zakłamywanie historii i żydowskie dziennikarstwo. Skandując hasła między innymi takie jak: *Przeciwko walce klasowej i materializmowi, za wspólnotę narodową i idealistyczną postawę wobec życia! Wydaję na pastwę płomieni pisma Marksa i Kautsky'ego*, wrzucano kolejno książki na stos, patrząc z perfidnym uśmiechem, jak są trawione przez ogień.



Palenie książek, Berlin, 1933.
Fot. Wikimedia Commons

Wśród wybitnie niepokornych pisarzy i wrogich systemowi autorów publikacji naukowych zaraz po Remarque'u należy wspomnieć Henricha i Thomasa Manna, Zygmunta Freuda, Alberta Einsteina, Karola Marksa, Ericha Kästnera i Alfreda Doeblina. To tylko nieliczni, bo lista znienawidzonych przez nazistów pisarzy jest znacznie dłuższa. Goebels triumfował, pokazując całemu światu duchowy upadek fundamentu Republiki Listopadowej. Podkreślał w swoich wystąpieniach kres epoki radykalnego, żydowskiego intelektualizmu, twierdząc, że ze spalonych dzieł odrodzi się feniks nowego lepszego świata. Stosy, które płonęły były ukoronowaniem od dawna zaplanowanej akcji przeciwko antyniemieckiemu duchowi. Sukcesywne ni-

szczenie wrogów wielkich Niemiec utrzymywały Hitlera w słuszności jego chorej ideologii.

Pacyfistom, którzy nie zdecydowali się na emigrację groziła śmierć. Taki los spotkał m.in. Jakoba van Hoddisa (Hans Davidsohn). Jeden z najgroźniejszych dla ideologicznego ducha Niemiec pacyfista Carl von Ossietzky został aresztowany i zesłany do obozu. Zmarł w berlińskim szpitalu. Wiele pisarzy zdecydowało się jednak pozostać w kraju. Wiązało się to niestety z pisaniem do szuflady lub unikanie tematów politycznych. Pisarze, którzy pozostali, to m.in.: Gottfried Benn, Ernst Jünger, Erich Kästner, Gerhart Hauptmann, Heimito von Doderer i Wolfgang Koeppen. Niesamowitą chwilę grozy przeżył Erich Kästner, który przypadkowo znalazł się w tłumie i został rozpoznany przez jedną z uczestniczek demonstracji. Szczęściem w nieszczęściu w tym odrażającym spektaklu, było to, że SA-mani byli pochłonięci nadgorliwym podtrzymywaniem ognia płonących stosów.

Ci, którym udało się uciec, to m.in.: Heinrich i Thomas Mann, Bertolt Brecht, Anna Seghers, Franz Werfel, Hermann Broch i wspomniany wcześniej Erich Maria Remarque. Po wojnie część pisarzy część powróciła do kraju np. Elias Canetti, który otrzymał nagrodę Nobla jako obywatel Wielkiej Brytanii. Oprócz Canetti'ego i Manna nagroda Nobla w dziedzinie literatury została przyznana także Hermanowi Hesse. Carl von Ossietzky został uhonorowany pokojową nagrodą Nobla, jednak III Rzesza uniemożliwiła mu odebranie nagrody.

Wydarzenia berlińskie były jedną z 93 akcji palenia książek i jednym tego dnia z ponad 20 miast, w których płonęły stosy. Ta tragiczna nagonka na prożydowskich pisarzy była przykrym skutkiem dla wielu pisarzy i czytelników. Nazistowskie inscenizacje były tłem dla wielkiej straty nie tylko dla niemieckiej kultury. W spektakularny sposób wypisano tytuły dzieł literackich oraz nazwiska nieprzy-



Palenie książek, Berlin, 1933.
Fot. Wikimedia Commons

chylnych profesorów na dwumetrowych pręgiach.

Oczywiście stanowiło to początek totalnej cenzury. W miastach, gdzie znajdowały się wielkie ośrodki oświatowe, ministerstwo propagandy reżimu hitlerowskiego organizowało czystki w księgarniach i bibliotekach oraz palenie książek. Naziści próbowali zastraszyć elity intelektualne oraz ludność.

Przerażający obraz życia w Berlinie w czasach nazizmu przedstawił Hans Fallada (Rudolf Dietzen) w powieści „Každy umiera w samotności” napisanej tuż po wojnie. Wręcz w poruszający sposób objawił opór szarych, zwyczajnych ludzi przeciwko nazistowskiemu systemowi. Nakreślił piórem bezpośrednią relację z piekła, jakim było życie zwykłych obywateli w totalitarnym państwie pod nadzorem służb specjalnych i pod czujnym okiem donosicieli. Pokazuje jak działa aparat policyjny Berlina w stosunku do tajemniczych twórców kartek z hasłami wzywającymi do oporu, którymi było dwoje samotnych i rozpaczających ludzi po stracie syna w wojnie.



Palenie książek, Berlin, 1933.
Fot. Wikimedia Commons

Doskonały portret faszystowskiego terroru wobec nizin społecznych Berlina. Nie brakuje tutaj poczucia humoru, dystansu, ale też i cichej nadziei na poprawę losu, co potwierdzają u finisu powieści słowa sędziego Fromma *im coraz gorzej jest teraz, to tym prędzej będzie lepiej*. Fallada napisał tę powieść prawdopodobnie w trzy tygodnie po tym jak jego znajomy, poeta, podrzucił mu akta Otto i Elise Hemplów, na historii, których oparta jest powieść. Choć bazował jedynie na dokumentach zbudował bardzo skomplikowaną konstrukcję i wplotł kilka wątków. W dobie wydarzeń i prowadzonej propagandy antyliterackiej, by uniknąć kłopotów z cenzurą, Fallada zajął się literaturą rozrywkową. Odmówiono mu przyjęcia do Izby Pisarstwa Rzeszy. W trzy miesiące po ukończeniu rękopisu zmarł na atak serca. W dobie rządów nazistów książka ukazała się w wersji ocenzurowanej. Dopiero w roku 2011 ukazała się wersja nieocenzurowana.

Dla upamiętnienia płonących wydarzeń Centrum Mendelsońskie postanowiło zrealizować projekt pod hasłem „Biblioteka spalonych

książek”. Do druku przygotowywane się zbiory dzieł autorów, których dorobek wówczas palono. Można śmiało powiedzieć, że odradzają się jak feniksy ze zgliszczy kultury niemieckiej.

Dziś w Berlinie, w miejscu gdzie płonął stos literatury stoi skromny pomnik przypominający o nazistowskim oczyszczaniu niemieckiego ducha a pod powierzchnią placu znajduje się przeszkłone pomieszczenie z pustymi regałami symbolizującymi wielką stratę z powodu nazistowskiego zamachu na wiedzę, naukę i rozwój ludzkości. Na metalowej tabliczce widnieje wiersz cytatu poety Heinricha Heinego z 1820 roku – *To tylko preludium – tam, gdzie pali się książki, w końcu pali się też ludzi*.

Magdalena Kapuścińska



Janusz Orlikowski

Tak

wiersz napisać – taki
by nie było obaw
o raj który widziałem

dzień jak wieczność
i noc
które nie kruszą kopii

i ot cała filozofia –
której tak trudno nadać imię:

życie bez myśli
ale nie bezmyślne

Ten dzień

dzień w którym napotkasz słońce
ten dzień i innego od horyzontu po horyzont
gdzie każdy ból tylko nieopacnym

wspomnieniem

jest – bo Niebo tak chciało

nie miej złudzeń
to nie twoja zasługa
i przestań głupio prężyć ramię

jest dzień w którym napotkasz słońce

gdybyś chciał o tym bólu powiedzieć
tylko po co? – gdy go, już go nie ma
i w imię jakiej krytyki?

tylko tej – że był?
i po cóż rozdrapywać rany
kiedy słowo znaczy inaczej?

aby więcej się nie pojawił?
a dlaczego nie
skoro był

To ja tuptuś

wnurowi Brianowi

a ja jestem drugi
tuptuś – powiełam dokonania brata
który jest starszy – choć tak naprawdę
nie wiemy o tym

ale on był pierwszy
i pewnie poznał co tu się kryje
tuptam więc za nim powtarzam
co dobre i złe nawet gdy rodzice
babcie i dziadki
śpieszą mówić inaczej

co tu się kryje? – zanim dowiem się
że to nazywa się światem
i przeszkadza nam żyć

ja jestem tuptuś
i tylko czasem powiem o sobie
gdy mój świat mnie zaboli

czasem już dziś
nie powtarzam już brata



Rys. Barbara Medajska

Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka

(I)

1945

Październik

Był w naszej jednostce niejaki kpr. Chruścik. Artysta był z niego nie lada, choć z zawodu był tylko tramwajarzem. On poddał myśl, by zorganizować objazdowy zespół artystyczny z odpowiednim programem dla wojska i dla cywilów. Ci ostatni spożywać mieli przygotowaną przez nas strawę duchową odpłatnie, a uzyskana mamona miała pójść na zakup dla jednostki instrumentów muzycznych, sprzętu sportowego, świetlicowego itp. Myśl była dobra i zacząłem przyoblekać ją w ciało. Artystów typu Chruścika nie brakło i wkrótce kilkunastoosobowy zespół wraz z odpowiednimi wariantami programu był gotów. Gorzej było z akceptacją naszej idei przez naczelstwo, ale i to się, nie bez trudu, załatwiło.

Sprawy organizacyjne wziął na siebie sierż. Jodłowski, kierownictwo literackie jak i całość – ja, a Chruścik realizację programu artystycznego. Załatwiliśmy wszystko co trzeba i jazda w teren. W ostatnim momencie wydział polityczno-wychowawczy pułku dał nam „anioła-stróża” w osobie ppor. Dąbka. On miał nadzorować naszą działalność, a przede wszystkim jej materialne owoce. Był to cios w naszą ambicję i honor tak organizatorów, jak i artystów. Rola naszego nadzorcy ujawniła się zaraz przy pierwszym naszym występie w Trzebini. Dąbek położył łapę na kasie i cały jej wpływ zabrał do swojej kieszeni. Nas wzięła cholera. Nie trzeba się było porozumiewać ani układać jakiegoś planu działania. Powstał on samorzutnie i samorzutnie zrealizował się, bo Chruścik i spółka to byli artyści z prawdziwego zdarzenia.

Powodzenie mieliśmy duże, bo jeszcze starożytni Rzymianie żądali igrzysk, a Polonusy też nigdy nimi nie gardzili. Nasza trupa była pierwszą w tym mieście i spragnionym rozrywki mieszkańcom podobała się bardzo. W dowód wdzięczności władze municypalne zorganizowały nam jakieś, dość zresztą skromne, przyjęcie. Pojedliśmy i trochę popiliśmy. Nasz opiekun okazał się dobrym kumplem, chętnie sięgającym po kieliszek. Dbając o naszą artystyczną kondycję ojcowie miasta Trzebini nie dali dużej ilości alkoholu, a tylko tyle, ile trzeba było na wzniesienie okolicznościowych toastów. Wystarczyło tego jednak na zaostrenie apetytów i po przyjęciu Chruścik zaczął molestować Dąbka o uzupełnienie libacji na koszt własny, czyli za część wpływów kasowych. Opiekun nawet się nie

opierał. Jednomysłność była więc całkowita.

Zabawa trwała do rana. Pokochaliśmy się i zawarli wieczystą przyjaźń. Podporucznik okazał się przemiłym chłopem i miał gest dopóty, dopóki starczyło utargu. Konsekwencje tego faktu uświadomił sobie dopiero nazajutrz, gdy zarobione pieniądze znikły bezpowrotnie. Dąbek pocieszył się, że odbijemy sobie w trakcie dalszego tournée.

– Ale chłopcy, na tym koniec i więcej chłać nie będziemy – zastrzegł.

Aby odbić stratę, podniósł ceny biletów wstępu już od następnego naszego występu w Chrzanowie. Sala była wypełniona. Fama o nas dotarła z pobliskiej Trzebini wcześniej, niż my zdążyliśmy dotrzeć. Oklaskom nie było końca. Bisowaliśmy upojeni powodzeniem, gdy na scenę wdarł się jakiś major i zaczął straszną awanturę, żądając przerwania przedstawienia i grożąc zaarrestowaniem całej trupy, co zresztą nastąpiło, gdyż myśmy się postawili. Ów major okazał się komendantem garnizonu i miał prawo zerwać spektakl. Powód był prosty. Chruścik w skeczu pt. „Wisoki trybunał” zagrał rolę adwokata aż nazbyt realistycznie. Publiczność nagrodziła go huraganem braw i zażądała bisu, ale major dopatrzył się antysemityzmu i stąd draka.

Przedstawienie zostało zerwane, publika stanęła w naszej obronie, ale major wściekł się, wezwał wojsko i pod eskortą odprowadził nas na wartownię. Wypuścił nas jednak niezwłocznie, bo bał się szturmowi wielbicieli talentu Chruścika, którzy tłumnie gromadzili się przed koszarami. Przyjęto nas wiwatami i nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się w knajpie. Fundowali nasi widzowie, a my też nie mogliśmy pozostać im dłużni. Nastąpiło zbratanie ludu z wojskiem, zawarcie dozgonnego sojuszu. Wynikiem jego była znów pusta kasa i rozpacz Dąbka, który po kielichu miał gest. Z rozpachy otrząsnęliśmy się szybko, pocieszając się przyszłymi sukcesami kasowymi. Nieszczęsny skecz został skreślony z programu, ale mimo to ceny biletów znów poszły w górę.

Następny był Oświęcim. Mieliśmy zarezerwowaną salę, rozplakowane afisze i wszystko przygotowane, ale do występu dla ludności cywilnej nie doszło. Major z Chrzanowa zadziałał. Mieliśmy tu swoją wojskową grupę ochraniającą demontaż oświęcimskich zakładów i tak przedstawieniem dla naszych żołnierzy zakończyliśmy artystyczną działalność na terenie województwa krakowskiego. Odwołano nas i przyznając, solidnie trzęśliśmy portkami wracając na łono macierzy bez pieniędzy i z etykietką antysemickich wystą-

pień.

Dąbek okazał się porządnym chłopem. Wziął wszystko na siebie, chociaż i mnie się sporo dostało. Straciłem chęć do podejmowania jakiejkolwiek inicjatywy i jeszcze jej nie odzyskałem. Wydaje mi się, że fakt wyładowania w tej dziurze, małym miasteczku, wiąże się jakoś z tamtym.

Listopad

Uff. Niepotrzebnie narzekałem na brak zajęcia. Lepiej nic nie robić, niż robić głupstwa. A to mi się właśnie przydarzyło. Było tak. W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca wyszperano moją skromną osobę i dano jej bojowe zadanie. Miałem jechać na czele dwóch żołnierzy do Sochaczewa i przeprowadzić tam mobilizację bydła do naszych kotłów. Pojechałem. Zameldowałem się u starosty, zgłaszając swoje i moich podwładnych usługi na rzecz tak ważnej akcji. Starosta jednak nie chciał ich przyjąć, powiadając, że ze skupem bydła da sobie radę, a wojsko nie powinno się tym zajmować. Delikatnie dał do zrozumienia, że nasza obecność w terenie nie jest ani pożądana, ani wskazana. Bydło będzie na oznaczonym miejscu za kilka dni, a my możemy spokojnie wracać do jednostki lub urządzić się tu, w Sochaczewie. Mądry chłop. Szkoda, że u nas w jednostce takich nie ma.

Przyznałem mu rację, podziękowałem i odmeldowałem się. Moi żołnierze zaatakowali mnie z miejsca na temat dalszych naszych kroków.

– Panie poruczniku – tłumaczyli jeden przez drugiego – do jednostki wracać nie ma sensu, opieprzą nas, że nie wykonujemy głupiego rozkazu. Tu siedzieć też nie ma sensu. Niech pan się gdzieś zamelinuje, a my skoczmy do domu. My som z jednej miejscowości. Wpadniemy do swoich i wrócimy, kiedy pan każe, z dokładnością do minuty. My som z Zagłębia, a u nas słowo wagę ma.

Pomyślałem – chłopcy mają rację. Uzgodniliśmy szczegóły i termin spotkania w Warszawie, na dworcu. Propozycja dogadzała i mnie. Przed miesiącem bowiem osiedliłem swoją rodzinę na Ziemiach Zachodnich i korciło mnie zobaczyć, jak oni dają tam sobie radę, tym bardziej, że osiadła tam nie cała rodzina, a tylko matka z moim bratem i siostrą. Reszta pozostała na starym miejscu. Nowe było wówczas bezludziem, a właściwie wysepką w morzu Niemców. Bałem się trochę o swoich. Santocko leży na olbrzymiej polanie wśród lasów. Osadnictwo jeszcze tam nie

dotarło, a najbliższe wsie, zajęte już przez Polaków, znajdują się w odległości kilku do kilkunastu kilometrów i nie ma z nimi żadnej łączności.

Pojechałem do Santocka, a moi przygodni towarzysze wyprawy w kierunku Śląska. Santocko od września niewiele się zmieniło. Rosjanie wyjechali i w olbrzymiej, ciągnącej się przeszło 10 kilometrów wsi pozostali prawie sami Niemcy. Polaków nie przybyło. Jest tych kilku osadników wojskowych, żołnierzy z za Buga, samotnych, bez rodzin. Mama pojechała po ojca i młodsze rodzeństwo, a Tadek ze Stasią zostali sami. Dają sobie jakoś radę. Okolica spokojna, band nie ma. Niemcy cisi i pokorni. Może moim krzywdy nie robią. Tadek urządza przysze gospodarstwo jak może. Coś niecoś mają już na zimę, ale będzie im cholernie ciężko z wyżywieniem, dopóki mama nie wróci i nie przywiezie własnego dobytku. Tu pusto i wszystko ogołocone doszczętnie. Niemcy też głodują i za kawałek słoniny, a nawet chleba, można od nich kupić rzeczy, o jakich na naszym Podlasiu nawet się nie marzy.

Pod nasz nowy dom podchodzą dziki, a na łące spotkałem sarny. Ech, gdyby tak mieć coś dłuższego do strzelania byłoby świeże mięso. Próbowalem ze starego Waltera, ale prócz huków nic więcej nie było.

Wróciłem w dobrym nastroju. W umówionym dniu i o umówionej godzinie byłem na tzw. Dworcu Głównym. Z daleka zauważyłem jednego ze swoich żołnierzy. Drugiego nie było. Ten, który był, zdenerwowany i roztrzęsiony wyjaśnił, że ten drugi wdał się w awanturę z milicją i ni mniej ni więcej tylko siedzi w więzieniu w oczekiwaniu na rozprawę sądową.

A niech to pieron trzaśnie. Znów wlałem w kabałę, z której nie wiem jak wybrnąć. W pierwszej chwili myślałem, że rozerwę na kawałki zwiastuna tej nowiny. Opanowałem się jednak. Akurat odchodził pociąg w kierunku Katowic. Pod wpływem impulsu wskoczyłem do niego. Za mną, jak cień – żołnierz. Kiedy pociąg nabrał rozpędu, gdy rytm kół dudniących po szynach uspokoił mnie do reszty, kazałem opowiedzieć dokładnie co, gdzie i jak.

– Panie poruczniku, to nie jest zwykła rozróżba, to jest sprawa polityczna – zaczął z trudno hamowanym wzruszeniem.

– Nie pieprz! Mów do rzeczy, mnie nie trzeba uświadamiać.

– Tak jest. Więc tego, więc Stachu jest synem przedwojennego komunisty i był za okupacji w ruchu. Koledzy z jego miejscowości są różni, jak wszędzie. Otóż Stachu spotkał jednego takiego w mundurze milicjanta. No i ... i chciał go zatrzymać. Ten uciekał, Stachu strzelił z automatu. Kumpel tego bandziora zbili Stacha straszliwie, bo on się nie dawał im wzięć. Wzięli go nieprzytomnego. Ojciec i matka rwą włosy z głowy. Straszne rzeczy, towarzyszu poruczniku.

– Bez bajcu. Zabił kogo?

– Nie, ale temu bandycie przyfasował i z tego wyszła draka.

– Ty przestań mi dupę zawracać, jeśli chcesz, żeby było dobrze. Ileście wypili przedtem?

– No trochę wypiliśmy. Taka okazja, panie poruczniku.

– A po wódce łatwo odkryć wroga i sprawiedliwość wymierzać. Ja się z wami, sukinsyny, rozprawię.

– Obywatelu poruczniku, oddajcie nas pod sąd, ale nasz sąd, a nie tu. Pierony utopiliby nas w łyżce wody. Nasza wina, ale niech go sądzą w Warszawie.

– Przestań już.

Rzucona przez żołnierza myśl zaczęła przeobrażać się w plan. Po przyjeździe na miejsce przystąpiłem do jego realizacji, grając *va banque*. Zameldowałem się u prokuratora prowadzącego sprawę. Przedstawiłem się mu jako specjalnie delegowany z Korpusu oficer z misją zabrania więźnia do dalszego prowadzenia sprawy przez naszą prokuraturę. Zaspany, czy może przemęczony kapitan bez większego oporu dał mi akta i nakaz zwolnienia. Pokwitowałem, odmeldowałem się i wyszedłem. Spocony jak mysz, nie wierzyłem własnemu szczęściu. Mój zły duch czekał na mnie, jako niby konwojent.

– No co ze Stachem?

– Gówno. Znasz drogę?

– Oczywiście.

– To prędko jedziemy, bo fujara gotów się rozmyślić.

Odzyskanie więźnia poszło gładko. Chciałem natychmiast wsiąść w pociąg i wracać, ale gdzie tam. Oniemieli początkowo z wrażenia łajdaki, szybko ochłonęli i zaczęli mnie molestować, by Stachu mógł pokazać się rodzicom, bo tam oni włosy z głowy rwą. Dranie wyczuli mnie. Pojechalśmy do jakiegoś osiedla. Najpierw tramwajem z licznymi przesiadkami, a potem pieszo. Miałoby to być 15 minut drogi, a trwało ze 3 godziny. Byłem wściekły, ale bardziej na siebie niż na nich. Ów Stach, dwumetrowy dryblas całował mnie po rękach. Dałem mu w papę i uspokoił się. Szedł początkowo jako aresztant bez pasa i broni, którą dźwigał jego kumpel. Kazałem mu się ubrać i szybko pokazać rodzicom, że jeszcze go ziemia nosi.

Skończyło się na tym, że wbrew swojej woli zasiadłem za stołem nie posiadających się z radości rodziców drapichrusta. Obżarłem się i spiłem nieprzyzwoicie. Po dwóch nieprzespanych nocach nie było to trudne, szczególnie w takiej sytuacji. Wylądowałem pod olbrzymią pierzyną, którą mi posłała i stale chciała poprawiać siostra cudem ocalonego, jak zgodnym chórem twierdzono, Stasię. Zapadając w otchłań snu, czułem, że ona wciąga koło mnie krąży, ale zabrakło sił, by wyciągnąć po nią rękę. A szkoda, bo gdy przyjrzałem się jej rano, to warta była grzechu. Przepadło, stracone okazje nie powracają.

Wróciliśmy bez przygód, jedząc i pijąc to,

czemu nie podołaliśmy na miejscu. Sprawę uważałem za załatwioną. Nawet mordy nie obilem mu, jak należało. To naprawdę równy chłopak i bardzo porządna rodzina. Wybiore się tam kiedyś.

Bałem się, że nasze bydłatka z Sochaczewa przywędrują przed nami. Ale i tu też dobrze się ułożyło. Kolej nawaliła, ale nie ma złego, co by nie wyszło na dobre. Dzięki niej nasza przygoda nie została zdekonspirowana.

11 listopada ogłoszono ostre pogotowie. Siedzieliśmy wszyscy w koszarach, bajdurząc o dupie-marynie i ziewając jak mopsy. Około północy rozległo się straszne walenie w główną bramę koszar. Oficerowie, którzy pokpiwali sobie z pogotowia, zbledli i zerwali się na równe nogi. Chwyciliśmy za broń. Walenie w bramę potęguje się, słychać tupot – to pogotowie z wartowni biegnie do bramy. My z nimi. Przez sztachety ogrodzenia czerni się i kłębi jakiś tłum. Co do wielkiej Anielki jest? Czyżby rzeczywiście banda?

Nie. To nasz kontyngent mięsa dobrnął wreszcie z Sochaczewa do celu, a konwojenci chcieli niezwłocznie pozbyć się kłopotu. Ażeby was, sochaczewianie, demokratyczna bozia miała zawsze w swojej opiece.

1946

Jeszcze niedawno marzyłem o cywilu. Teraz nie. Co ja bym tam robił? Uczuć się tak, ale za co. O pomocy rodziców nie mam co marzyć, a jak dotąd trafiają mi się same biedne baby, które nie tylko nie wspomogą materialnie, ale to im trzeba by pomóc.

Maj

Ten Boczkowski gagatek nie lada. Pięknego majowego dnia zasiadłem na ławce pod drzewem i beztrudno wygrzewałem się na słońcu. Boczkowski skrobał w kuchni ziemniaki i lada chwila powinien iść do koszar. Postanowiłem z nim pogwarzyć. Właśnie wyszedł i zmierza w moim kierunku. Przywołuję go. Podchodzi, melduje się. Jakiś dziwny uśmiech, gęba zapadnięta, mizerna do niemożliwości, straszliwie brudna, mundur nie pasuje do smukłej, bardzo smukłej, zgrabnej figury żołnierza.

– Dlaczego nie na służbie? – pytam – Co to za obijanie się?

– Obywatelu poruczniku, melduję, że tacy jak ja nie są godni pełnić służbę przy dostojnikach państwowych.

– Nie zgrywaj się, głuptasie. Siadaj, jeśli masz chwilę. Zapalisz? Co mają znaczyć te twoje wycieczki? Ty mi wyglądasz na cwaniaka, ale coś tu mi też nie pasuje. Ile masz lat?

– Dwudziesty.

– To znaczy ochotnik. Gdzie masz zęby?

cdn.

Sztuka życia

Tomik wierszy **Liliany Abraham Zubińskiej „Qi”** tchnie spokojem osoby głęboko przekonanej o tym, że odnalazła wreszcie właściwą drogę życia. Tytuł, tematyka oraz fakt, że sponsorem i wydawcą książki jest Polskie Stowarzyszenie Zdrowotnego Qigongu z siedzibą w Kielcach wyraźnie wskazuje, że autorka pozostaje pod wpływem starej chińskiej metody utrzymywania i przywracania zdrowia. Ukształtowała się ona w wyniku tysięcy lat obserwacji przyrody, zachowania zwierząt oraz wpływu poszczególnych ruchów ciała na zdrowie człowieka. Qi, czyli pierwszy człon nazwy, oznacza energię życiową, a gong wyjątkowe osiągnięcie, determinację i perfekcję w opanowywaniu sztuki długiego życia, tak więc podłożem tej metody jest przekonanie, że specjalne ćwiczenia w połączeniu z oddechem i koncentracją umożliwiają skuteczną walkę z dolegliwościami dnia codziennego, ze starzeniem się organizmu, z chorobami cywilizacyjnymi oraz brakiem energii.

Liliana Zubińska należy do grona ludzi poszukujących. Co ją porwało akurat w qigongu? Wydaje się, że w tej, tak odległej od nas mentalnie metodzie, nie tyle chodzi o sam system ćwiczeń, choć bezsprzecznie wpływa on na poprawę kondycji organizmu, co o zmianę sposobu myślenia. Kształtuje nas kultura, w której wzrastamy. Najwidoczniej jednak wielu jednostkom przestaje ona wystarczać. Do szczęścia potrzebne jest bowiem poczucie bezpieczeństwa. Tymczasem wyzwanie współczesnego świata często go nas pozbawiają. Zły stan psychiczny zaburza pracę wielu narządów organizmu, wyłania się więc potrzeba poszukiwań oparcia w odmiennych religiach lub filozofiach, między innymi w buddyzmie. Skoro dwa i pół tysiąca lat temu Budda już po 49. dniach medytacji potrafił osiągnąć Oświecenie, a po następnych siedmiu tygodniach sformułować Cztery Szlachetne Prawdy, może warto wkroczyć na słynną Ośmiostopniową Ścieżkę Prowadzącą do Ustania Cierpienia; osiągnąć przebudzenie i dostąpić łaski nirwany?

Czyżby Lilianie Zubińskiej się to udało? Być może tak, o czym świadcząby słowa „Obudzona (choć to jak sen) / nie znajduję nic, / co nie byłoby Tym” („To”). By ten stan osiągnąć, odbyła długą drogę. Tomik rozpoczyna wiersz, w którym autorka wyznaje: „wędrowiec wyruszył w drogę / i wraca z tą samą pieśnią. / Ale droga już nic nie pozwala nazwać / – ani nieba niebem, / – ani ziemi ziemią” („Droga”), co świadczy o głębokiej przemianie duchowej, która w niej zaszła. Jak głęboko trzeba wnikać w tę filozofię, by czuć radość istnienia, trwania, choć nie wiadomo „gdzie początek, gdzie koniec? / gdy wszystko jak jeden oddech, / jak jedna miara, która siebie mierzy. / ” („Bezkrę”). Skoro jednak autorka w wierszu „Skarb” wyznaje: „Czuję

radość, jakby ktoś / mnie czymś obdarował, / zastanawiam się i rozglądam, / jeszcze nic nie dostałam. / Nic? / Gdzie podarek, gdzie prezent, / gdzie ten skarb? / przecież tu i teraz – nikt i nic, tylko / ja /”, jestem skłonna jej wierzyć.

Każdy sam jest więc dla siebie największym skarbem. Wszystko nosimy w sobie. Wystarczy zatrzymać się, wejrzeć w głąb siebie, odrzucić pewne reakcje i nawyki, które nam wpojono, a osiągniemy spokój. Oświecenie według Noela Donalda Walscha, autora „Rozmów z Bogiem”, polega bowiem na zrozumieniu, że nigdzie nie trzeba iść, nic nie trzeba robić i nikim nie trzeba się stać – wystarczy to, gdzie się jest i kim się jest w tej właśnie chwili. Wszystko, co jest w nas i co nas otacza, jest takie, jakie być powinno. Liliana Zubińska w swoich wierszach formułuje to w następujący sposób: „Nic nie chcę, / tylko być, tylko trwać, // na nic tu słowa, // Milknąć wołam najgłośniejszy, / już w cały świat.” („Tylko być”) oraz „nic nie chcę, nic, / i o Nic proszę” („Droga Qi”).

Trzeba jednak mieć szczęście, „by zobaczyć, że się nie widzi” i nie bronić się „przed spotkaniem z sobą”, zrozumieć że „To właśnie tu / wszystko jest” („Do szukających Miłości”). Jakże podobnie patrzy na świat Anaïs Nin, według której „Nie widzimy rzeczy takimi, jakimi są. Widzimy je takimi, jakimi my jesteśmy”. Jeśli cierpimy, oznacza to, że popełniliśmy błąd w myśleniu.

Jest wiele osób, które łączą mistykę europejską z filozofią i mistyką Wschodu. Wśród nich znajdujemy m. in. znanego jezuitę, filozofa, teologa i psychologa Anthoniego de Mello oraz wspomnianego już powyżej Noela Donalda Walscha. Zarówno z „Przebudzenia” Anthoniego de Mello, jak i z książek Walscha wyłania się obraz łagodnego, przyjaznego Boga, który komunikuje się z nami głównie za pomocą uczuć, myśli i doświadczeń, gdyż słowa ze względu na swoją wieloznaczność, są najsłabszym środkiem przekazu. Podobne przekonanie bije z utworów Liliany Zubińskiej. Odnajdujemy je w sformułowaniach: „Nie słowo, nie gest / a / bezruch i cisza – / oto otwarte na Miłość drzwi.” („Zaproszenie”) oraz „Czym są słowa, gdy / rano doświadczam wschodu słońca, / czym droga, gdy zamknięte oczy? / jeden krok wystarczy by być tam / gdzie zmierzam, / i wystarczy myśl, by zbłądzić” („Być drogą i swobodnie krocącym”).

Jak ważny to dla niej wątek świadczy końcowy wiersz tomiku: „Tyle chciałabym powiedzieć, / a przecież wystarczy być. // Jestem – posłuchaj / i usłysz. // Bez słów jestem Tym co Jest”, bo „Zbliżyć się – można tylko w sercu, / w ten sposób usiąść nawet na kolanach Boga”.

Według Walscha Bóg dąży do tego, „aby cały proces życia był nieustanną radością, ciągłym tworzeniem, nie kończącym się rozwojem i całkowitym spełnieniem w każdej chwili Teraz”. Kim jest ten Bóg? Jakąś kosmiczną, nieokreśloną i wszechobecną rzeczywistością, czy w myśl Wschodniej, mi-

stycznej definicji Wielką Pustką?

To wielkie Nic, które zawiera wszystko, zwane jest bowiem przez niektórych ludzi Wschodu Bogiem. Zachód patrzy na to inaczej, widzi Go bowiem we wszystkim, co jest. Walsch z kolei przyznaje rację tym, którzy sądzą, że „Bóg to Wszystko, Co Jest i zarazem Wszystko Co Nie Jest” i w tym sformułowaniu najwyraźniej widać połączenie obu mistyk.

W mistycyzmie Wschodu wielką rolę do spełnienia ma Mistrz, nauczyciel, który jest niejako ziemskim wysłannikiem Boga. Anthony de Mello uważa się za „ucznia” Jezusa, który jest jego Mistrzem na równi z innymi. Jedyną różnicę widzi w tym, że Jezus jest „przebudzony” i całkowicie wolny, natomiast inni nie. Liliana Zubińska również ma Mistrza i chociaż nie wyjawia jego imienia, nie kryje, jak wiele mu zawdzięcza: „Ogarnia mnie radość / na myśl, że mam Mistrza. / Nie znajduję słów, / by wyrazić wdzięczność, // choć nagle nie wiem / komu i za co dziękować. / Jestem, a jakbym nie była, / wiatr i kosmiczny pył przenika / to miejsce tu i teraz” (Mistrz”).

Ulotność, niezmierny spokój, pewność, że jest na właściwej drodze oraz wynikająca z tego radość przepełniają każdy utwór omawianego tomiku, co daje nam obraz stanu psychicznego autorki, który jakkolwiek by nie został nazwany, na pewno daje jej siłę, energię i poczucie szczęścia. A o to przecież w życiu chodzi.

Liliana Zubińska, członek ZLP, autorka sześciu wcześniej wydanych książek wkroczyła na nową drogę. Wniosła tym samym do współczesnej polskiej poezji powiew duchowości Wschodu. Dla wielu czytelników tematyka ta może okazać się zaskakująca i niezrozumiała, warto jednak ulec czarowi metaforyki, łagodnemu rytmowi, subtelności i pięknu słów, by „patrząc / na gałąź drzewa” doświadczyć „Nieba w sobie”.

Wanda Nowik-Pala

Liliana Abraham Zubińska, „Qi”, Wydawnictwo Emporium, Kielce 2015, s. 107.



KOZETKA (10)



Belles lettres. Z krainy pasowej róży

Artyści na najwyższym szczeblu
nadają barwę i wyraz epoche,
w której żyją.

Karol Szymanowski

JOANNA FRIEDRICH

Są tacy, którzy czytelników literatury pięknej uważają za neurotyków, którzy nie mogą poradzić sobie z problemami, zaczytują się w tomach prozy i poezji.

Jest też podobno inna grupa neurotyków, która dla tych pierwszych tę literaturę tworzy, co także jest ucieczką i antidotum na jakieś problemy.

Jeszcze niedawno byli tacy, którzy uważali, że czytanie książek przez dziewczynki przynosi zgubne skutki.

Od kiedy pamiętam, kojarzę siebie, jako samiec „party animala”, która po całej nocy tańczenia, potrafiła wstać wcześniej rano, aby zdążyć na interesujący wykład.

Zdarzało mi się też często czytać książki prosto z półki właścicieli „domówek”. Czasem mówiły więcej, niż oni. Nie traktowałam wtedy książki jako dodatku do stylizacji czy atrybutu dodającego mi intelektualnego anturażu. To samo z okularami, wcześniej odkryłam urok soczewek kontaktowych.

Od jakiegoś czasu natomiast, zawsze jakąś książkę i jakiś notes mam przy sobie.

Litery układają się dla mnie jak nuty dla muzyka, tworzą niepowtarzalną melodię myśli. Raz przeczytane i przeżyte, pozostawiają ślad.

Jestem jak droga wydeptana ich maleń-

kimi nóżkami.

Na jej końcu jest jednak coś, co różni mnie od klasycznych feministek-intelektualistek. Jest to zdrowy hedonizm.

Uważam, że czysty, obskurny intelekt to za mało, by porwać za sobą rzeszę czytelników, a zwłaszcza czytelniczek. Być może chcę odnaleźć nową definicję literatury pięknej.

Literaturę piękną mogą pisać piękne kobiety dla pięknych kobiet. Dlaczego nie rozszerzyć estetycznych granic. Uważam, że kultura ciała niczemu nie przeszkadza. Co więcej: sprzyja duchowi. Wielu artystów nie oddziela swojej powierzchowności od powierzchowności swoich dzieł. (Być może dlatego coraz więcej projektantów widuje się na wystawach sztuki i coraz więcej sztuki na pokazach mody?)

Piękno budzi zaufanie.

Ostatnio, na blogu, napisałam o klubie tylko dla kobiet. W dobie demokracji, także w sferze obyczajowości, klub dam miałby trudny orzech do zgryzienia. Większość dam w obecnych czasach jest samoukami.

Sama swoją definicję kobiecości budowałam na bardzo różnorodnych zmiennych. Czytałam książki Marii Krüger, Astrid Lindgren, Małgorzaty Musierowicz, zwane przez krytyków naiwnymi, czytałam „Emanuelle” i „Pamiętniki gejszy”, „Kamasutrę”, zwane przez znawców tematu kiczowatymi. Nigdy nie miałam do czynienia z indeksem książek zakazanych. Czytałam Hłaskę, Bursę, Baudelaire’a, Hemingway’a i Fitzgeralda. Marqueza i Dostojewskiego. Do dziś czytam wszystko, co mi wypadnie w ręce.



Czy tak powinna zachowywać się dama? Czy to damie wypada? Bon ton, czyli dobry ton, z samej definicji, określa, co jest dobre, a co nie. Tylko skąd to wiadomo na pewno, skoro w postmodernistycznym świecie jedną z podstawowych reguł jest ich przekraczanie?

Czy sama znajomość zasad nie wystarczy? Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a pierwszy stopień do nieba, to...?

Wyobraźnia: Myślę, że pierwszym warunkiem bycia damą jest właśnie ona.

Mężczyźni mają swoje kluby dżentelmena, gdzie wchodzi tylko oni, aby w spokoju zapalić cygaro i napić się whiskey. Gdybym

miała puścić wodze fantazji, co, jak wiemy, przychodzi mi bez trudu, zbudowałabym w niej lustrzane pałace ze zwykłych i z weneckich luster:

Zamki tylko dla kobiet.

Wypełnione kwiatami, dziełami sztuki, materiałami, miękkimi poduszkami i latającymi dywanami oczywiście. Frywolne SPA, masaże i hamam, sauny, baseny, jacuzzi i dużo świeżego powietrza. Przestrzeń dla tego, co potocznie nazywa się próżnością kobiecą, a jest paliwem cywilizacji. Świat wypoczętych, zrelaksowanych i dobrze zadbanych kobiet, które swoim animuszem, pomysłowością i sex-appealem ożywiają skostniały patriarchy.

Jak tak człowiek długo posiedzi przed lustrem, to podobno może zobaczyć tam diabła. Nigdy tyle nie siedziałam, ale lustra bardzo pobudzają moją wyobraźnię. Można je powiesić wszędzie, na suficie, w szafie, w miejscu do medytacji, yogi, tańca. Wszędzie tam, gdzie się chce mieć kontakt z własnym ciałem i duszą.

...jak się długo patrzy w lustro wpada się na pomysły nie z tej ziemi, na zapomniane tropy kobiecości...

cdn.



Klaudia Wiercigroch- Woźniak

Śmierć

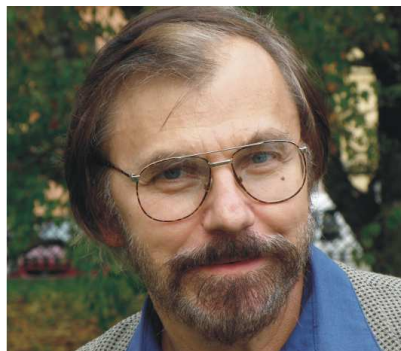
Gdy przyjdzie po mnie
królowa szkieletów
z kosą

wyrwę z kalendarza
ostatni dzień
na ziemi
skreślę w pamiętniku
parę słów
dla potomnych
pobieram rozsypane
dobre i złe uczynki
włożę je do kieszeni
dżinsów
założę trekkingowe buty
kapelusz
koszulę w kratę
jak moje życie całe

ostatni raz
spojrzę w lustro
w młode zielone oczy

niczego mi nie żal
– ciebie mi szkoda
to frustrujące
biegać nago z kosą

Listy do Pani A. (94)



Poprawni i bełkotliwi

Miła Pani!

Kwiecień był wyjątkowo udany artystycznie. Mam na myśli wyłącznie te imprezy, które dotyczyły mnie bezpośrednio. Niestety wszystkie organizowane przez ZLP albo przez ludzi zbliżonych do kół związkowych są pomijane, umniejszane, spychane na margines. Inne bywają niewiele warte, ale snobistyczne i „politycznie poprawne”. Jednak chodzi o to, by robić swoje, nie zawsze upajając się własną „wielkością”.

A więc nie zważając na obiegowe opinie uczestniczyłem w Światowym Dniu Poezji UNESCO organizowanym przez „Poezję Dzisiaj”. Organizatorem jest Aleksander Nawrocki, który nie ma zwyczaju narzekać, ogłądać się na innych, tylko z marszu przystępuje do działania – już po raz szesnasty w tym roku.

Było dużo młodych ludzi. Stało się już tradycją, że na tę imprezę przychodzą szkoły, i to nie tylko warszawskie. Uda się Nawrockiemu co roku aktywizować uczniowsko-nauczycielskie środowiska, ich udział w Światowym Dniu Poezji staje się nieodzowny. Zawsze też niektórzy z nich biorą aktywny udział w programie artystycznym recytując wiersze, śpiewając pieśni, grając na różnych instrumentach.

Sala w Muzeum Literatury jest zawsze pełna, sama impreza trwa długo i jest bardzo zróżnicowana. Ale ciekawa. Nie czuje się nawet drętwienia tylnej części ciała, bo raczej nie myśli się o nie zawsze wygodnych siedziskach, ale o tym, co wokół się dzieje. A ja zastanawiam się, czy Pani już przyszła, czy w ogóle będzie...

Aleksander Nawrocki ma swój indywidualny, oryginalny sposób prowadzenia całości. „Pani Basiu, gdzie są moje okulary?” – zwraca się publicznie do żony, Barbary Jurkowskiej. Ktoś mógłby to uznać za „nieprofesjonalne” lub zgłębiać demencję prowadzącego. Ale nic z tych rzeczy. Wprowadza to familiarny, domowy klimat, niweluje wszelkie dystanse, podkreśla serdeczność i swobodę spotkania.

A po południu w „Antrakcie” spotkanie poświęcone dziesiątemu numerowi „Liry Dramu”. Jak ten czas... Całość prowadziła, jak zwykle, Marlena Zynger, redaktor naczelna kwartalnika. I tu wiersze, muzyka, słowo i zwierzenia autorów, a przede wszystkim miłe spotkanie, podczas którego można się poczuć z dala od politycznego jazgotu; w dawnej, artystowskiej atmosferze, jaka panowała

kiedyś, kiedyś w salonach i kawiarniach artystycznych.

Tym razem spotkanie to zbieгло się z zakończeniem Światowego Dnia Poezji. Było więc jeszcze bardziej uroczyste niż zazwyczaj. I tłumnie. Bo trzeba zauważyć, że na promocję „Liry Dramu” przychodzi tak wielu słuchaczy, że należy zająć miejsce dużo wcześniej.

A potem prowadziłem daleko poza Warszawą spotkanie poetyckie z Anną Marią Musz, której wybór wierszy zatytułowany „Inkantacje” – polsko-bułgarski, w tłumaczeniu Łyczczara Seliaszkiego – właśnie się ukazał. Ta „daleka” miejscowość, to Trzebnica, rodzinne miasto tej młodej, znakomitej poetki. Wiadomo, jak trudno dziś wydać poetycką książkę. Tymczasem wiele życzliwości wykazał burmistrz Trzebnicy Marek Długozima, który wymiernie wspomógł druk „Inkantacji”. Aż chciałoby się, żeby w każdym mieście był taki burmistrz, otwarty na kulturę, chętny do wspomagania wszelkiego rodzaju artystów. A przy tym świetny gospodarz. Trzebnica stała się pięknym miastem, zupełnie nie przypominającym prowincji. Jasna, przestronna, zadbana, pełna pamiątek i zabytków. Nic dziwnego, że w takiej miejscowości w pełni mogła rozwinąć skrzydła Anna Maria Musz, znana m.in. z portalu Pisarze.pl, prasy literackiej, Internetu. Ostatnio została przyjęta do Związku Literatów Polskich.

Słuchaczy w Centrum Kultury nie było może przesadnie wielu, ale ci, którzy przyszli, z pewnością nie żalowali. Prowadziłem to spotkanie z satysfakcją, jaką może dać opowiadanie o poezji w ogóle, a o bogatej i oryginalnej twórczości Anny Marii szczególnie. Podobno się nawet nadmiernie nie jękałem... Miałem wrażenie, że Pani też tutaj przyjechała, więc chwilami ogarniała mnie trema, niekiedy chęć rozpostarcia pawiego ogona.

Szkoda tylko, że w życiu literackim panuje straszny chaos, oknami i drzwiami wlewają się rozmaite popłuczyny, które usiłują zatopić dobrą twórczość. A są przecież u nas młodzi, rzeczywiście zasługujący na dużą uwagę, m.in. Małgorzata Lebda, Dominika Baraniecka, Dominik Piotr Żybertowicz... Jest wielu innych, ale tych jednym tchem wymieniam tutaj po prostu dlatego, że to moje najnowsze lektury. Są to poeci indywidualni, nie ulegający manierze Biura Literackiego, nie siłą się na „poprawność literacką” czyli udziwnienia, brak kompozycyjnej logiki. Tak jak istnieje „poprawność polityczna”, tak coś w tym rodzaju widać w poezji. Wiersze o przejrzystej kompozycji, jakimś wyraźniejszym przesłaniu, uważane są za gorsze. Natomiast bełkot święci triumfy, bo jest niezrozumiały, a snobistyczna pseudokrytyka nie chce się przyznać, że nic z tego nie rozumie. Zresztą nie tylko ona. Potwierdzają to publikacje w pismach młodoliterackich czy decyzje jurorów kwalifikujących utwory do mniej lub bardziej ważnych nagród. Nie mówmy już w tej chwili o względach środowiskowych czy koteryjnych.

Zbytnią dostępność publikacji bywa kłęską. Dziś każdy może zamieścić swój (lub splagiowany) wierszyk w internecie: może tego naproduktować setki. Będzie obnosił się z zaszczytnym tytułem „poety”. A kiedyś... Gdy Julian Tuwim wysyłał swoje pierwsze utwory do oceny Leopoldowi Staffowi, ten czynił uwagi i radził nie spieszyć się z drukiem. Dosić długo Tuwim „terminował” u Staffa, zanim odważył się coś opublikować. I nie twierdził, że Staff to anachroniczny głupiec, a on,

genialny Julek, jest prawdziwym poetą. I może by nie był, gdyby z pokorą nie przyjmował rad starego mistrza, i nie pracował nad sobą, nad poetyckim warsztatem. Dziś nie ma takich punktów odniesienia, autorytetów, jakie były jeszcze po wojnie, choćby Przyboś, Grochowiak, Gąsiorowski, Jerzy-Nowak, Śliwiak, Śliwonik, Tchórzewski... Wtedy młodzi poeci obserwowali ich twórczość, uczyli się od nich, co nie miało nic wspólnego z jakimś epigonizmem. Dziś najrozmaitsze młokosy albo starsze panie basują sobie i utwierdzają się we własnej wybitności.

Teraz w telewizji jest emitowany serial „Bodo”. Następny przykład, ile pracy trzeba włożyć, ile przeżyć upokorzeń, by umocnić swój talent, nabrać mistrzostwa, opanować zasady rzemiosła. Bodo, którego pamiętamy jako wybitnego aktora, został nieźle przeczolgany przez dyrektorów teatrów, starszych kolegów, nawet rówieśników? Wyszło mu to na złe? To samo dotyczy sztuki słowa. Miejmy zatem nadzieję, że dobre czasy artystycznej dyscypliny, poszanowania twórczości innych, powrócą. Jak długo można żeglować po mętnych morzach bez busoli, którą się zresztą własnoręcznie rozmagnesowuje?

Z jednej strony sięganie do tradycji jest dobre, ale pod warunkiem, że się jej nie kopiuje, a przetwarzają; z drugiej zaś, jak to się dzieje w naszym powszednim życiu, jest szkodliwe. Dzisiaj nie da się skopiować dwudziestolecia międzywojennego, nie da się rządzić tymi samymi metodami, zwłaszcza, że współcześni „rządcy” są dużo głupszy, co szczególnie widać w przypadku autorytatywnych decyzji dotyczących Puszcy Białowieskiej czy zaostrenia przepisów antyaborcyjnych. Patrząc na całą decydencką zbieraninę, na ten zgiełk, na dyktantów zajmujących stanowiska przeznaczone wyłącznie dla specjalistów, trudno z drugiej strony nie być za aborcją. Gdyby wyskrobano szereg idiotów, anachronicznych homunkulusów, może nie byłoby dziś takiego problemu, gdyby... nie urodzili się inni idioci, co nie jest pozbawione dużej dozy prawdopodobieństwa. Cóż jednak byłby wart świat bez błazneków? Bez tych, którzy mówią do siebie niczym jądra podczas stosunku: „patrz, szef zapieprza, a my się objamy...” Zresztą, kto może rzucić kamieniem? Wszyscyśmy z tej samej gliny, tylko może różnie wypalanej. I dlatego jest wesoło, a poczucie humoru daje dystans i nie pozwala się zbyt łatwo przejmować.

A więc nie przejmujmy się! Zażywajmy lekarstwa w postaci śmiechu, szyderstwa, dystansu, spojżenia oczami karykaturzysty na wszystko, co nadęte, sztuczne, pozerskie albo cięło naiwne. Wiem, że trudno się nie denerwować szkodnictwem, beczelną głupotą, absurdalnymi ideologiami, śmiercią koni, które stały się ofiarami polityki oraz ideologii, usankcjonowanym niszczeniem przyrody, ale miejmy na względzie własne zdrowie psychiczne. Tamto zniknie, zdechnie, nie pozostawi śladu. My nie powinniśmy zdychać razem z kretyńskimi pomysłami. I tej równowagi, odporności każdego dnia życzę Pani najserdeczniej –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Kto posadzi drzewa?

W dziwnym świecie, dziwni ludzie mówią dziwne rzeczy. Już coraz trudniej, zagubionemu we wszechbałaganie człowiekowi, zorientować się, gdzie jest granica normalności. Tej samej, bez której nie można oddzielić radości od smutku, kłamstwa od prawdy i pychy od skromności... Zresztą, gdzie tę ostatnią można dzisiaj znaleźć?

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Pewnego dnia, wychodząc rano po gazetę, uzmysłowiłem sobie, jak bardzo nie lubię zimy. Początkowo wydawało mi się, że to z powodu nastroju, w jaki wpadłem poprzedniego wieczoru czytając o średniowiecznym chrześcijaństwie i o szkołach buddyzmu chińskiego. Ale nic bardziej mylnego. To zimno, mróz, a do tego jeszcze ten „przeszywający” człowieka na wylot wiatr. W końcu kupiłem wspomnianą gazetę, a przy okazji jeszcze mleczko i bułeczkę, i wróciłem, czym prędzej, do domu. Pełen nadziei, zacząłem przeglądać kolejne strony dziennika. Strasznie dużo pisano tego dnia o życiu niedoczesnym. To taka moda, szczególnie wtedy, kiedy tylko nadarza się ku temu okazja.

Nagle, w oparach porannej zielonej herbaty, usłyszałem w radiu rozmowę o znaczeniu chrześcijaństwa w życiu każdego człowieka – głównie o jego wyższości nad innymi religiami. Dziwna to była rozmowa, gdyż dowiedziałem się z niej, że nie wszyscy ludzie na świecie są równi wobec różnych bogów i tak musi być – jak stwierdził duchowny, bo to on był gościem programu. Rozmówca w sposób jednoznacznie irracjonalny tłumaczył „nieznośnemu dziennikarzowi” – jak go nazwał – wyższość religii chrześcijańskiej (ze

wskazaniem na tę jedną jedyną, wybraną) nad innymi, głównie nad buddyzmem. *Tylko miłość chrześcijańska jest jedyną wartością ponadczasową, o którą warto zabiegać – ciągnął „filozof”.* Wszystko inne jest niegodne chwili zastanowienia.

Więc okazało się, że *ja* jest niegodzien... i tak dalej... Jak to, chrześcijanin i czyta herezje buddyjskich mnichów oraz inne „bezeceństwa” niegodne „prawdziwego” chrześcijanina.

Wzburzyło się we mnie, choć jestem chrześcijaninem z dziada pradziada, ale takim nie-dewotem. A zatem powiedzmy sobie od razu, że buddyzmu nie można lekceważyć; to była bardzo piękna propozycja duchowa dla ludów Azji pięć stuleci przed przyjściem Chrystusa. Jednak nie sposób nie zauważyć, że buddyzm i chrześcijaństwo, choć tu i ówdzie podobne, pod wieloma względami różnią się zasadniczo. Buddyjska troska o cierpiących i chęć uwolnienia ich od cierpienia to odruch bliski chrześcijańskiemu sercu, ale nie czyni on jeszcze chrześcijanina. I nie może być inaczej, choćby tylko dlatego, że buddyzm nie uznaje istnienia wiecznego „ja”.



Czy zatem chrześcijańskie pojęcie miłości zastąpić można buddyjską litością? Paweł Lisiecki w jednym ze swoich esejów pisze: (...) *miłość chrześcijańska chociaż łączy się z uczuciem, to okazuje się i przejawia w posłuszeństwie i wykonywaniu prawa moralnego. Jest aktem duchowym, w istocie swej dostępnym jedynie bytom umysłowym, zdolnym znać i kochać to, co poznane jako dobre. Z samej istoty jest też aktem osobowym. Kieruje się albo ku osobie Boga, albo osobie bliźniego. Ku bytom, które są odrębne, samoistne i wolne.*

Miłość chrześcijańska poszukuje sensu cierpienia. Ważniejsze od ulżenia ich doczesnej doli jest dla niej nawrócenie błądzących i rozpoznanie wiecznego celu.

W odróżnieniu od niej buddyjskie współczucie natomiast zakłada równość wszelkich bytów w podatności na cierpienie. Dla niego

każde usunięcie cierpienia jest czymś dobrym. Tak, jak płomień powstaje po potarciu zapalki, tak litość powstaje wskutek dostrzeżenia nędzy żywych stworzeń. Nie dzieli stworzenia na rozumne i nierozumne, ale przyjmuje, że cokolwiek żyje, godne jest współczucia. Litość dostrzega w człowieku to, co czyni go częścią przemijającego świata przyrody?



Zatem jaka jest różnica w tej kwestii pomiędzy tymi dwoma systemami filozoficznymi? Marcin Luter powiedział: *nawet gdybym wiedział, że jutro zginie świat, dziś jeszcze zasadziłbym nowe drzewo.* Podobnie Miłosz – w wierszu o końcu świata pisze o ogrodniku, podwiązującym pomidory. Dla jednego końcem świata będzie odejście najbliższej osoby, dla drugiego utrata zdrowia. Rządziej spotyka się ludzi, którzy w takiej sytuacji kładą się, żeby czekać na koniec. Takich jak Cervantes, który *Don Kichota* pisał po utracie ręki, jak wielka Sara Bernhard, która grała na scenie przed zachwyconą publicznością – poruszając się na drewnianej nodze. A Władysław Strzemiński, twórca unizmu w malarstwie, weteran I wojny światowej, człowiek bez ręki i nogi, który wykładał w łódzkiej Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych, a gdy socrealizm nabrał rozpędu, wyrzucony z uczelni, zarabiał na życie jako dekorator wystaw?

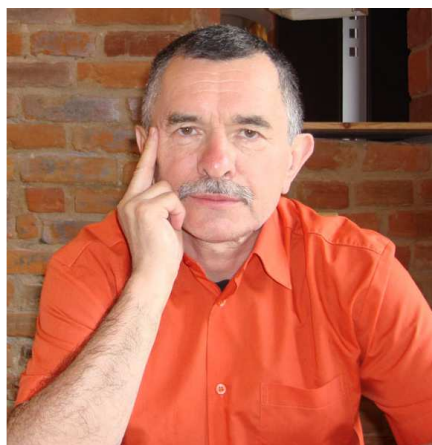
Cień inscenizowanego końca świata pada na najbliższych. Siła niszcząca się rozprze-strzenia – i może już niebawem nie będzie komu sadzić nowych drzew. Więc po co wycinać te, które jeszcze pozostały? Niech one ukorzenia się mocno, niech będą dla nas schronieniem przed takimi „filozofami”, jak ten z audycji radiowej, pewnego zimowego poranka. Jak to dobrze, że mamy już piękną wiosnę...



JÓZEF BARAN

Spadając, patrząc w gwiazdy (2)

(fragmenty)



Lepiej się z nimi rozumiałem niż z wieloma krakauerami, z którymi nie czułem żadnego powinowactwa duchowego, choć i ja, i oni patrzymy prawie codziennie na tę samą Wieżę Mariacką i Wawel, chodzimy do Teatru Starego lub Nowego, słuchamy głosu trąbki z Wieży Mariackiej „płynącej nad dachami kamienic”, ba, oddychamy tym samym zanieczyszczonym powietrzem, bo stara stolica leży niestety w głębokiej niecce i w wilgotne dni smog nie ma stąd odpływu, dlatego człowiek budzi się jak na kacu, choć Bogu ducha winien.

Pewnie typowe cechy mieszkańca Krakowa dałoby się wyraźniej wyodrębnić, gdyby je porównać na przykład z cechami kresowian (mieszkaniec Krakowa jest rzeczowy, mniej wylewny, postny, nienawykły do obfitych gestów), typowych górali „spode Tater” albo Ślązaków (też zależy jakich), mieszkających za miedzą Małopolski, a różniących się tak bardzo mentalnością, zamiłowaniem do innej kuchni, pewnymi przyzwyczajeniami wynikającymi z odmiennej kultury regionalnej. Pociąg do tytułomanii, jak i do „Całuję rączki Szanownej Pani Prezesowej” – to zaś na pewno galicyjskie relikty.

Oczywiście zabytkowa architektura, jeden z najbardziej urodziwych rynków w Europie, masa imprez kulturalnych i wielkie zagęszczenie znanych artystów na jeden metr kwadratowy (proszę to odczytać jako hiperbole) – mogłyby mieć wpływ, choć nie muszą, na wzrost duszy mieszkańców. Nie muszą, bo niestety większość krakowian w ogóle nie wstępuje do teatrów, filharmonii, na wernisaże, koncerty, spotkania z artystami, czyli nie korzysta z dostępnych im dóbr kultury, a wolny czas spędza na zakupach w „globalnych” supermarketach oraz przed telewizorami i komputerami...

...Jednak pamiętam, jak raz zdziwiłem się, jadąc pociągiem, gdy podczas rozmowy z przemłą panią z północy Polski dowiedziałem

się, że mówię z krakowskim akcentem. Było to dla mnie niezwykle odkrycie, gdyż dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że mam jakiś osobliwy akcent, ba, że gdy wyrwie mi się: „chodźże tu!” „dajże spokój” albo „a idze, idze, bajtloku!” – to ludzie wyczuleni na odmianki polszczyzny w lot poznają, iż jestem (choć nie jestem) krakowski Antek...

Oczywiście im dalej od Polski, tym te szczególne cechy są mniej widoczne. W Singapurze na przykład widać było gołym okiem, że nie jestem Azjatą ani Sin-gapurczykiem, a przedstawicielem „rasy kaukaskiej”. Ba, jeśli tamtejszy antropolog wpatrzyłby się w moje rysy, może odgadłby, że jestem Polakiem. Ale już za Chiny Ludowe nie odkryłby we mnie krakowianina. Czyli im dalej, tym te nasze z bliska widoczne różnice się zacierają...

Jako poeta mógłbym się pokusić o opisanie pewnych cech dodatnich krakowskiej szkoły poetyckiej, w porównaniu na przykład z gdańską, mikołowską czy wrocławską. Dbałość o czytelność, ładną klarowną formę, lekkość, ale także pewien tradycjonalizm, nierozrywanie z rymów, rytmu czy „staroświeckich” przesłań etycznych... Dalej – poczucie humoru, wdzięk, zwracanie uwagi przez autora na pomysł, koncept, kompozycję, puentę... Tak, to na pewno cechy poezji Szymborskiej, Harasymowicza, Bursy, Śliwiaka, Zagajewskiego czy Ziemanina, ale także Kornhausera, Stabry, Lipskiej, Zechenter^A Sławińskiej, Lisowskiego, Świetlickiego, Moczulskiego czy Żurakowskiego... że wymienię poetów pierwszych z brzegu związanych z moim miastem, choć nie roszczę sobie pretensji do obiektywizmu, bo jak może ktoś, kto siedzi w brzuchu wieloryba, opisać tego wieloryba z zewnątrz?

Czy dbałość o atrakcyjność przekazu ma związek z tradycją kabaretową Piwnicy Pod Baranami i z Teatrem Stu, a wcześniej z Zielonym Balonikiem? Może jakiś ma... Czy krakowski swoisty prowincjonalizm i konserwatyzm – jedni mówią „zatechły”, inni „szacowny”; jedni uważają, że „zapyziały”, inni „kulturotwórczy, sprzyjający artystycznemu skupieniu” – mają związek z tym, że Kraków otrzymał lokację na prawie magdeburskim już ponad 750 lat temu i w swoich długowiecznych murach udało mu się zakonserwować genius loci: przywiązanie do wartości, szacunek dla tradycji, a także pewnego rodzaju dumę, a nawet, powiedziałbym, pychę? Pewnie mają... Piosenkarz Andrzej Sikorowski napisał tekst „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa” co między wierszami należy odczytywać – i bez tego jesteśmy najlepsi. Oczywiście są tacy, którzy twierdzą, że gród podwawelski jest dziś ostoją marazmu, i młodzi z Polski nie garną się już tu, tak jak kiedyś, na studia – szczególnie dotyczy to uczelni nieartystycznych, gdyż widzą przed sobą lepsze szanse pracy i kariery zawodowej w Warszawie, Wrocławiu czy Poznaniu.

Jerzy Zoń – reżyser, animator Festiwalu Teatrów Ulicznych i dyrektor teatru KTO, powiedział mi: „Krakowianina w świecie rozpoznać po tym, że nie wie, czego uważa, iż Kra-

ków jest pępkiem świata, a w tym pępku właśnie mieszka on, krakus, krakowianin, pępek tego pępka”.

Długoletni prezes krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Bogusław Żurkowski zwykł podkreślać na różnych zjazdach i spotkaniach poetów, że mamy w oddziale dwu noblistów: Miłosza i Szymborską i – to już ja dodaję – co najmniej dziesięciu innych cichych kandydatów do Nobla, którzy tu żyli lub żyją, bo oprócz wymienionych przez mnie wcześniej mieszkali tu: Tadeusz Nowak, Jan Józef Szczepański, Filipowicz, Mrozek, Pilch, Lem...

Legenda miasta poetów zatoczyła szerokie kręgi w Europie i świecie. W związku z nią na przykład poeta hinduski Amarendra Chakraborty, którego poznałem w 2001 na Kongresie Poetów Świata w Sydney, przyleciał na moje zaproszenie specjalnie z Kalkuty do Krakowa, żeby zobaczyć to legendarne miasto poetów, o którym tyle słyszał w Indiach. Dla niego krakowianie to wspaniała poezja i wspaniali poeci.

A może każdy ma takich krakowian, na jakich zasługuje?

Przywoływany już przez mnie bard spod Wawelu Jędrzek Sikorowski podzielił się ze mną obserwacją, która była identyczna z moją: „Jak to jest, że na polskich estradach zapowiadają mój występ: Andrzej Sikorowski z Krakowa. A dlaczego nie mówią – Maryla Rodowicz z Warszawy?”. Odpowiedziałem Jędrkowi, że mam podobną sytuację na spotkaniach autorskich, gdzie przedstawiany bywam: „Poeta krakowski Józef Baran”.

Do pewnego czasu protestowałem, ale kiedy zauważyłem, że niewiele to pomaga, teraz macham na to ręką. Ba, zdałem sobie sprawę, że poeta z Krakowa, poeta krakowski to dobra marka... a na pewno nie chodzi o określenia broń Boże umniejszające. Wręcz odwrotnie, w oczach kogoś spoza Krakowa one nobilitują. A skoro tak chcą nas widzieć dookoła ludkowie z innych miejscowości, to po kiego licha mam się temu przeciwstawiać i podcinać gałąź, na której sam siedzę?

Toteż mimo że wkurza mnie ten śliczny grajdołek nieprzewietrzanych salonów, faryzeuszkowskiej dwulicowości i układów nie do przełamania, staram się ostatnio trzymać język za zębami i nie prać krakowskich brudów na wyjeździe. Wręcz dolewam oliwy do ognia, mitologizując Kraków na potęgę, wyolbrzymiając zalety mieszkania w tych „polskich Atenach”, na „olimpie kultury polskiej”, gdzie bije Dzwon Zygmunta i – a jakże – serce Ojczyzny – a jakże! – i gdzie natchnienie znajdowali i znajdują: Penderecki, Demarczyk, Grechuta, Tischner, Chromy, Wajda, Trella, Stuhr, Globisz, Dymny, Dymna, Skrzynecki, Konieczny, Preisner i dziesiątki innych luminarzy sztuki.

Ba! Sam wymyślałem krakowskie anegdoty z moją osobą w tle, bo widzę, że to działa na publiczność. I że w moim interesie jest podtrzymywanie kultu, mitu, legendy Miasta Miast.

cdn.

Poezja daje możliwość ocalenia

Nowosądecka poetka **Joanna Babiarz** wydała bardzo mocny tom wierszy pt. „Być obok”. Przedmiotem poetyckich ekspiacji stało się jej osobiste życie widziane z własnego wnętrza, ale i od zewnątrz, co czyni tę poezję prawdziwie autentyczną dla potencjalnego czytelnika. Z pełną świadomością autorka poszukuje dla swoich utworów ewentualnych spadkobierców, choć wie również, że dla jej wierszy konteksty osobiste będą już niepowtarzalne – każdy bowiem jest przecież indywiduum nieporównywalnym z inną osobą. Ta niepewność autorki jednak zobowiązuje, zmusza do powinności pisania, nadawania słowom niestandardowego kształtu znaczeniowego, przezwyciężającego „ból istnienia” i kosztowania „smak soli” pojawiającego się na wargach autorki.

Poetka przywołuje znany obraz Gustava Klimta „ocalone miasto”, który poniekąd stanowi dobrą metaforę jej egzystencjalnego położenia i przypomina jego istotę wymowy, że – podobnie jak bohaterka obrazu: „pocałunkiem / zasłania / rozchylone usta”. Człowiek bowiem – przypomina Babiarz – to zlepek chwil połączonych / pajęczyną czasu”, na której kołyszą się jakby kolejne wiersze poetki, czyli tajemnice „prawa głosu”, którym dysponuje. W tych wierszach niecierpliwość „impulsem czasu” kolejnych słów „przepływa z wiersza do wiersza”. Wyraża to ów wariabilizm na dobre i złe ogarniający dyskurs poetycki sądeckiej autorki, bo wie, że nie zna dnia ani godziny i zgadza się z tym nurtem egzystencjalnego płynięcia z prądem codzienności. Jedynie świat czysty, jej siostry w codzienności, usprawiedliwia ów zabieg egzystencjalno-literacki.

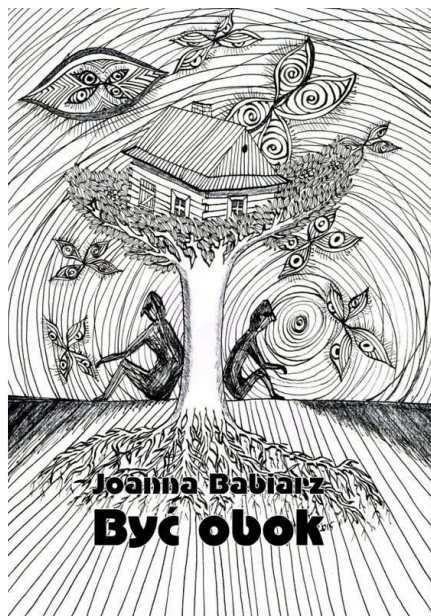
W wierszu pt. „ostatnia jesień” tak komentuje to doświadczenie: „(...) nie pytaj o czas / ani o godzinę / lepiej przyjmij / co się zdarzy // (...) więc nie stawaj / do walki / tylko ciesz się / tą krótką chwilą / zachowaj rozum / zmierz nadzieję / jej długość / będzie twoim czasem / który tak zazdrośnie / skrywasz // a więc korzystaj / z tej chwili / ale nigdy / nie ufaj przyszłości /”.

Autorka zdeponowała symbolicznie miniony czas w licznych zegarach stojących w domu, choć czas jej płynie dalej, a ona stwierdza, że „(...) kiedy zegary umierają / kończy się czas / ich czas / tylko nasz / wciąż istnieje / przychodzi / odchodzi / mija / zegary czasem mogą się obudzić / tylko my / nie budzimy się / już nigdy”.

Boi się również potoków słów, ale i znaczącego milczenia, zahartowana mechanizmami życia – trwa i nie ma już złudzeń wcześniej żywionych. Podkreśla, że przecież przypadek rządzi życiem, „skołatany myśleniem”, nawet wtedy, gdy „strach na wróble / zgubił kapelusze”. Często doświadcza Kier-

keggardowskiej „bojaźni i drżenia”, widzi je u innych, którzy mimowolnie i bez świadomości „chorują na śmierć”.

Po wielokroć odkrywa pustkę egzystencjalną, którą zapełnia bliską sobie osobą mężczyzny. Razem jak dwa przysłowiowe Feniksy próbują wznieść się ponad światem, nękani wrogimi gestami otoczenia. Ma przecież świadomość doświadczenia, że „tak trudno / rozłożyć skrzydła / skostniałe od czekania”. Popadając w sen i budząc się z niego uczy się życia „na krawędzi świtu”, z „plamą słońca” na własnym istnieniu. Wybiera drogę i podąża nią konsekwentnie, w milczeniu „fermentuje życie”, by móc właściwie wszystko, bo przecież jest wolną. W wierszu pt. „możesz” głosi swoje nowe *credo*, pisząc: „teraz możesz wszystko / możesz śpiewać / grać na każdym instrumencie / i tańczyć / kiedy tylko zapragniesz // (...) możesz wszystko / tworzyć nowe historie / pisać wiersze / rysować wspomnienia / płakać i śmieć się / budzić swoje szczęście / i czekać na kolejną jesień”.



Dla Babiarz twórczość poetycka to „nocny dźwięk”, przelewanie dziennego milczenia i zjadliwej egzystencji na papier, odwracanie się pomimo wszystkiego „w stronę słońca”, by po przysłowiowej burzy wznieść się ku tęczy i już po niej spacerować, ale i być nieosiągalną dla przyziemności. Warto w tym miejscu nadmienić, że tom ten składa się z następujących części: „Impuls”, „Splot”, „Czas burzy”, „Przebieg tęczy”, „Drzazga” i „Tym którzy kiedyś”. Mówiąc szczerze – to są dwa tomiki w jednym tomie – a ta druga część jest próbą wytłumaczenia się z nieporozumień, które jej życie spowodowało między swoimi bliskimi. Poetka stara się bowiem mówić ciepło o ich uczuciach, rozumieć je, ale i im sprzyjać. Całość zamyka wypowiedź autorska poetki, wyjaśniająca dlaczego ten tomik powstał i jest taki, a nie inny, bo w ten sposób oznajmia jego prawdę inspiracji, która dla wielu może

być niezrozumiała, ale pouczająca, dając im również nadzieję. „Poezja to jest po prostu – pisze autorka – jawny opis złożoności świata, poprzez nią odkrywamy na własną rękę naturalny porządek rzeczy – wtedy słyszymy głos prawdziwej ludzkiej tęsknoty. Zawsze poeta dąży ku tajemniczemu przestrzeniom – jest na granicy dwóch światów – rzeczywistego i nierzeczywistego” i chyba można dodać – tego własnego i dla siebie prawdziwego.

prof. Ignacy S. Fiut

Joanna Babiarz, *Być obok*. Redakcja, wstęp i projekt okładki: Andrzej Dębkowski. Ilustracje: Janusz Szot. Zdjęcie Autorki na IV stronie okładki: Agnieszka Kałwa. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2015, s. 114.

Teraz widzimy niejasno, jak w zwierciadle

Wtedy zaś, zobaczymy twarzą w twarz ... wtedy zaś poznamy tak, jak i zostaliśmy poznani... Tak więc trwają – miłość, świat i poezja, te trzy: z nich zaś największa jest... poezja.

Ten przewrotny – nie ukrywajmy, zacierpnięty przecież z listu do Koryntian – przetransponowany dość żywiłowo, jakby wywód, przyszedł mi do głowy przekornie po lekturze wyjątkowego tomu wierszy **Janusza Orlikowskiego** – „Raj, który widziałem”. Ale czy można w ogóle zobaczyć raj? Czy można, tu, na Ziemi, doświadczyć niesłychanej iluminacji, właściwej umysłom chłonnym i otwartym, a potem choćby dotknąć niesamowicie niewyobrażalnego? A może jest to jednak zadanie wykonalne, właściwe poszukiwaczom światów niejednoznacznych, pięknych i alternatywnie kojących nasze rozdygotane dusze?

I w końcu, może to właśnie jest najwłaściwsza odpowiedź na **ten świat**, świat, który widzimy za oknem, i jest to odpowiedź łaskawie darowana tylko poetom (pięknoduszom) i garstce wiernych (nieprzystosowanych merkantylnie) wyznawców takiego słowa – niejasnego, dziwnego, innego – okraszzonego nieśmiało metaforą, niejednoznacznością, dziś właściwie niepotrzebnego, zbędnego, zepchniętego do nisz, które (owo słowo) jest na taki świat obecnie może jedyną odpowiedzią... na jego bestialstwa, jego okropności i jego unicestwianie naszych wrażliwych serc podług zasady równania z ziemią wszelkich niedoskonałości...?

(Dokończenie na stronie 18)

Teraz widzimy niejasno, jak w zwierciadle

(Dokończenie ze strony 17)

Poezja jako niedoskonałość – poezja ob-
jaw słabości – poezja zjawisko właściwe nie-
udacznikom, albo innym osobnikom nie
płynącym z głównym prądem, pędem czy
stadem. Poezja ucieczka? Dokąd? Do raju?
Tylko jak, skoro raju nawet nie ma. Wykre-
ślono go z kanonu oczekiwań. W każdym
razie Gagarin też go nie widział. Czyż mógł
zobaczyć go Orlikowski?

A jednak go zobaczył. Doznał. Doświad-
czył. Przeniknął. Ba... wręcz opisał. I zaprasza
nas w tę podróż. W podróż poza czasem,
poza myślą i poza korzeniami świadomości, a
jednocześnie w podróż w precyzyjnie wyzna-
czonym czasie, w myśli i w świadomości
właśnie – skoncentrowanej na rozważaniu
nieskończoności w naszym przyziemnie
skończonym miejscu, które może być jakkol-
wiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek również
Twoim, czytelniku, doznaniem, którego
łakniesz nawet, jeżeli horyzont Twój płonie
od lęku, brudu i cierpień wszelakich. Orli-
kowski jest kuszącą alternatywą na zamknięte
już raje Różewicza, Miłosza, Zagajewskiego,
Herberta i Szymborskiej. Orlikowski jest
teoretycznie i zarazem częściowo praktycznie
w nowym raju, który wymyślamy w XXI
wieku nie chcąc skończyć za życia niczym
martwe dusze współczesności. To wcale nie
znaczy, że Orlikowski jest lepszy bądź gorszy
niż te tuzy poezji, których nazwiska (wybacz-
cie, niechcący) tu właśnie padły. To wcale nie
znaczy, że można Orlikowskiego stopniować,
porównać, kategoryzować czy określić wo-
bec... To znaczy jedynie, **i tylko tyle**, że raj,
który widział Janusz Orlikowski jest... trochę
inny. Niby podobny, niby ten sam, a jednak
inny. Autor dopływa doń nie widząc alterna-
tywy. Dociera doń wyczerpany, poraniony,
zutyliзовany niczym nasz klon, cień i na-
miastka, którą się nagle staliśmy nikczemnie
włotczeni w ten świat, którego nawet Oni –
Różewicz, Miłosz, Zagajewski, Herbert i
Szymborska – razem wzięci, nie mogli prze-
cież doświadczyć, zrozumieć czy wręcz do-
tknąć z tych swoich cokołów pół-pomników
wystawionych na szyderstwo obecnych pół-
elit.

Bo potęga raju Orlikowskiego tkwi w no-
wym człowieku obecnego wieku, w człowie-
ku, którego duszy już nie ma, a pozostało
jedynie zwierciadło. Takiego człowieka nie
znali spóźnieni poeci włożeni na półkę nieczy-
tanych już lektur lepszych polskich szkół.
Takiego człowieka nawet my jeszcze nie
potrafimy określić czy scharakteryzować. Nie
potrafimy go ująć, zobaczyć, również do-
tknąć. Nie potrafimy, bo sami jesteśmy kale-

cy, ułomni, niepełnosprawni, odszczepieni i
każą nam iść tam, gdzie dojść wcale nie war-
to.

Autor zaprasza nas do charakterystycz-
nego dla człowieka współczesnego pójścia
własną drogą. Własną, acz naznaczoną jego
obserwacjami, jego przemyśleniami czy
rozważaniami, które z powodzeniem można
uznać za własne, a choćby z własnymi tożsa-
me. Bowiem siła „Raju, który widziałem” tkwi
nie w raju, a w naszej pokiereszowanej per-
cepcji, zmuszonej stosować się do tego świata
zaleceń, a to względem Boga (co do którego
ponoć nic pewnego), a to względem prawdy
(która, ponoć, wmawiają nam – nie jest jedy-
na), a my tak właściwie, to do Boga i prawdy
– do tego świata zaleceń, wcale stosować się
nie chcemy. Dokonał się bowiem nieodwra-
calnie postęp naszej emancypacji, w którą
nawet już teraz sami zaczynamy wątpić i w
ramach terapii na ten stan może właśnie
pojawiać się jakiś nowy raj.

Dziś nie ma już od tego (czy od takiego)
świata, powoli, dokąd uciec. Pozostaje być
może spojrzenie w chmury, czasami w gwiaz-
dy, innym razem w taflę jeziora, a nawet
spojrzenie w głębię siebie, czy głębię ciągle
niezbędnej dyspozycyjności w ramach total-
nej komunikacji, która powoduje tylko od-
ruch wycofywania się i odwracania wzroku.
Można jeszcze sięgnąć po poezję, lecz to
wyzwanie nie jest dla wszystkich. Jest dla
Ciebie i dla mnie. Niestety, a może też i do-
brze. Czasy, kiedy było to wyzwaniem dla
mas mamy już szczęśliwie za sobą. Nadeszły
czasy bardzo odwrotne. I do tego są one tak
odwrotne, że potykamy się o nie mimochod-
em, przedzierając się w nich poprzez po-
wszechną pogardę, którą jednak nie wszyscy
właściwie pojmują. Poezję zepchnięto do
krajin niebytu, ale okazuje się, że i tam rośnie i
umacnia się – wbrew samej sobie. Wbrew
nam.

„Raj, który widziałem” pozornie nie jest
odkrywczy. Jest matematycznie precyzyjny, a
zarazem widziany niejasno. Uwniosła samo
Jest, sama „obecność”, której się nie szuka,
nie rozważa i nie komponuje, gdyż znajdzie
nas ona własną determinacją. Stoicka rezy-
gnacja nie jest wcale jednak receptą, a może
stać się drogą, kiedy zaczniemy dostrzegać.
Kiedy zacznemy widzieć. Kiedy odzyskamy
wzrok. „Obecność” może stać się tabletką
przeciwbólową na noc i dnie przeżywane
wbrew sobie. Każdy wiersz można czytać
wielokrotnie i za każdym razem znajdzie się
w nim nowe. Dziewicze. Nieodkryte. Za
każdym razem odczyta się inaczej: punkt
widzenia, przeżycie i każdą myśl. Za każdym
razem dojdzie się gdzieś indziej. To wielka
sztuka. I duże wyzwanie.

Gólnie

*pozostają tylko wiersze
pisane z dobroci dla świata
a wtedy ich krzyk*

określi humanizm

*choć boczył się będzie niezmiennie
i udawał obrażonego kota
któremu z talerzyka zdjęto
milczącą rybę*

*pozostają tylko wiersze
pisane z dobroci dla ludzi
wtedy gdy krzyk nie przystoi
a jest konieczny*

*zaduma się humanizm nad sprawą
pochyli nozdrza ciekawie
wieczne niczym imię
zamknięte w greckiej triadzie*

*sprawa wiersza
jego chybliwy nadruk
czytany tylko czasem
i przez przypadek*

Wyznanie

*nie wierzę że wierzę
i nie mogę stwierdzić odwrotnie*

wierzę że nie wierzę

ateizm?

*ktos kiedyś skradł mi rozum
i nie pytał czy mogę
życie przestało być logiczne
jakby kiedyś było*

*przypadek?
on nic nie wyjaśnia
słowo pozbawione krwi
i kości na których by ciało
zawisło bez pytania o prawdę*

*ktos kiedyś skradł mi rozum
ale go nie odebrał*

*czytam księgi
i doświadczam dni
jakby można dalej od siebie
mam ku temu powody*

*ten ptak który to opowiada
wesola małpa w zoo
ten człowiek który kłęczy i ufa*

Przypadek – słowo pozbawione krwi i ko-
ści... Sprawa wiersza – czytany tylko czasem i
przez przypadek. Chybliwy nadruk. A
wokół niego coraz więcej słów pozbawionych
krwi i kości. Pozbawionych znaczeń, zrelaty-
wizowanych pojęciowo, obumarłych – za
sprawą naszą i nie naszą, oderwanych od
korzeni, od prawd, od sensu. Coraz więcej
wątpliwości, coraz więcej samotności, coraz
częściej: gorycz, chłód i niepewność. Coraz
mocniej bije dzwon – komu? (zapytanie) –
temu światu, z którego uczyniliśmy potwora o
smaku: tolerancji, poprawności, wypaczonej
demokracji... Ale to może tylko moje myśli –
skojarzenia. Nie ma ich w tej poezji. W tej
poezji jest łagodność. Antidotum. Próba
wycięcia komórek nowotworowych przeno-

szonych drogą sieci wbrew naszym naturalnym, odwiecznym potrzebom – serca i dotyku. Zamieniono to w kontakt i oddalenia oraz namiętność zdegradowaną do planowanej realizacji potrzeb. Ohyda. A może prawo dziejów. I mętnego postępu...

Orlikowski nie dotarł być może jeszcze do idealnej formy swoich słów. Wciąż trzyma się cokołów pomników, analiz konkretnie twórczych i odkrywczych, a jednak, może nieświadomie przekracza w warstwie dopowiedzianej Rubikon tego nowego raju – nowego człowieka. Być może Autor wciąż tam płynie i pozwala nam uczestniczyć w tej pielgrzymce stoika. Być może wodzi nas za nos, za zmysł powonienia i percepcji, za los, na który mamy coraz mniej wpływu, a który beznamiętnie rozpoczął wpływać na nas i nas degradować do roli trybu w maszynie. Nigdy więcej. Na kartach tej poezji stoik proponuje subtelną niezgodę na taki właśnie wariant szczęśliwości. On niczego nie wyjaśnia – jak przypadek – słowo wytrych wsadzone tam, gdzie nie ma lepszych wyjaśnień z dawnego świata, który ponoć się skończył. Werbalnie jest to możliwe, mentalnie – nigdy.

„Raj, który widziałem” jest w nas. Albo może być. Nie znajdziemy żadnej terapii poza sobą. Skazani na autoterapię. Skazani na osobność, alienację i prywatne wszechświaty posiadamy mimo wszystko więcej niż nam się wydaje. Posiadamy to wszystko, co jest niezbędne, tylko trzeba mieć siłę, aby to odkryć. „Raj, który widziałem” jest koncentracją paradoksów i sprzeczności, będąc jednocześnie płynną tkanką obnażania naszej ślepoty. Bo kiedy oślepiemy już wszyscy – lekarze naszych dusz ukryli się za wyrachowanymi instrumentami, za parawanem dobroci i chęci uczynienia nas najszczęśliwszymi szczęśliwcami. To szczęśliwość towarowa – na pokaz i do kupienia. Sprzedawana powszechnie. I w nadmiarze. Właściwość naszych czasów, w których Bóg obarczony został konsekwencjami całego zła – konsekwencjami i wnioskami z podchwytliwie rzuconego pytania – a co po Auschwitz? A po Auschwitz nic – tylko ktoś, gdzieś, w ukryciu szykuje nam „powtórkę z rozrywki”, tyle, że... inaczej, bardziej humanitarnie, wyrafinowanie i higienicznie – wręcz sterylnie... i coraz mniej spotykamy ludzi wrażliwych i na tyle przenikliwych, aby gotowi byli to sobie wyobrazić. Naszemu otępieniu towarzyszy coraz silniejszy egoizm. A nawet narcyzm. Coraz mocniejsza pewność, że sami sobie: sterem, żeglarzem i okrętem. Tylko, że okręt już tonie. Zaczął, póki co, przeciekać. Woda dostaje się na dno i cierpliwie – jak na Titanicu – kreuje katastrofę. Jedno jest pewne i bezdyskusyjne – orkiestra gra nadal. Głośno i na umór. Wbrew instynktowi. Jego też przecież udało się unicestwić.

Janusz Orlikowski musi być człowiekiem o żelaznych nerwach. Obnażył nam obszerny kawał własnej duszy, ale tylko taka jest dziś chyba recepta na prawdziwą poezję. Na po-

ezję bez bólu, egzaltacji, bez śmiesznego buntu, bez natłoku słów, bez zbędnej komplikacji przy jednoczesnej ogromnej głębi intelektualnej.

Już Konstandinos Kawafis pisał sto dwadzieścia lat temu jak wyglądają pewne mury (które, jak się wydaje, odgradzają nas od jakiegokolwiek raju...)

*Bez refleksji, bez wstydu, bez współczucia
zbudowali dookoła mnie wielkie, wysokie mury.*

*Teraz siedzę tutaj i rozpaczam.
Nie myślę o niczym innym: ten los zżera mój umysł,*

*ponieważ tam, na zewnątrz, miałem wiele do
zrobienia.
Jak mogłem być tak nieuważny, kiedy budowali te
mury?*

*Ale nigdy nie słyszałem odgłosów murarzy, ani
jednego
dźwięku.*

*Niepostrzeżenie odciął mnie od zewnętrznego
świata.*

(1897)

Te mury właśnie zdaje się, że Orlikowski pokonał. Zburzył je, albo choć usiłował je zburzyć i zaproponował nam, coś co widział, a czego widzieć przecież nie mógł. I czego my dostrzec już nie możemy w swoim zagubieniu i zatraceniu. Samą „obecność” poza murem między innymi w wierszu tytułowym, w „Raju, który widziałem”...

*nie widziałem raju poza tym
gdy byłem w szpitalnym ogrodzie
dotykałem liści pni drzew i krzewów
dłoń kiedy wzniosłem ku górze
dotknąłbym chmur gdyby była dłuższa
czas – pustelnik życia nie był mi znajomy*

*tylko samo jest, obecność
tych liści pni drzew i krzewów
kwiatu nenufara błyszczącego w wodzie
powietrze i słońce
zaciągałem do płuc ale bez pragnienia
a tylko dlatego – że są*

*byli tam też ludzie
ubrani, cywilni
nie z mojego raju
tylko niektórzy – jak ta łysa kobieta
w koniecznym turbanie na głowie
czy ten mężczyzna z przypaloną czerwienią
klatki piersiowej*

*nie widziałem raju poza tym
gdy wyszedłem pierwszy raz
do szpitalnego ogrodu*

Każdego z nas czeka jego własny, prywatny, namacalny szpitalny ogród. Każdy z nas będzie zobligowany do paschalnego rytuału godzenia się z inną rzeczywistością. Każdy z nas – jednostek wymiernych i było, nie było skończonych – powinien choćby pojąć świadomość nieustannego przemijania. Tylko

jak to pogodzić ze zgiełkiem za oknem? Jak to obłaskawić z permanentnym zamętem? Jak to skonfrontować z mentalnością XXI wieku i człowieka maszyny, człowieka genetycznego oraz człowieka boga? Zaiste niemożliwe.

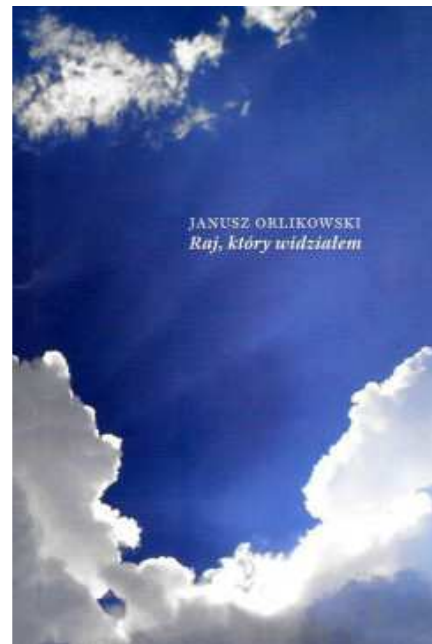
Janusz Orlikowski nie jest nachalny. Proponuje nam dystans. Poszukiwanie ciszy, którą otworzysz dzień jedną klamką. Dobroci, prawdy i zaufania. Proponuje nam błękit w oczach, gest współczucia, możliwość stawiania słów, którą uświęca, proponuje nam uśmiech, wyciszenie krzyku, wiarę w światy, o których się nie śniło. Takie proste sprawy. Życie bez myśli, (...) ale nie bezmyślne.

Dlaczego to jednak jest tak trudne do realizacji? Czasem, wręcz niemożliwe. Otóż nasz świat zaparł się nas na nasze własne życzenie. Uczyniliśmy go sobie poddanym, a siebie samych nawzajem uczyniliśmy wykluczającymi się jednostkami w ramach kultu fałszywie pojmowanej wolności. Dotarliśmy do granic absurdu, a absurd taką ma cechę, że jest mu to dokładnie obojętne. I w tej smutnej codzienności „raj, który widziałem” po prostu nie ma prawa się wydarzyć. Pozostaje nam tylko zwierciadło, ale i ono stało się dziś mętne i matowe.

Teraz widzimy niejasno, jak w brudnym zwierciadle.

Wtedy zaś – nie zobaczymy już nic.

Andrzej Walter



Janusz Orlikowski „Raj, który widziałem”. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”. Bydgoszcz 2016, s. 56.



Ciągle wyruszamy z tych samych miejsc

O tomiku Lesława Wolaka
„Ślady i cienie”

Muza Lesława Wolaka się nie śpieszy. Poeta wydaje tomik co kilka lat. Po „Księdze wiatru” (2007) i „Naświetlaniu nocy” (2010) pojawił się w 2015 roku kolejny zbiór poezji pt. „Ślady i cienie”. We wszystkich da się dostrzec człowieka wpisanego w pejzaż. Za każdym jednak razem tonacja sztafażu jest inna. Ma się rozumieć, że krajobraz, jeżeli jest, jest tylko wystrojem klimatu wiersza, swoistą parabolą, w której ukrywa się jak diament w kamieniu istota tekstu. Teksty są dopracowane, pewne. Mają mocne wiązania. Widać, że autor panuje nad wierszem. Jest powściągliwy w wyrażaniu emocji, a jednocześnie nie waha się obdarzyć nas wynurzoną z metafory obrazem, zachwycić porównaniem, puentą. Wolak tym razem przywozi swoje wrażenia z podróży po świecie śródziemnomorskim. Refleksje o naturze człowieka, o istocie życia, o historii są często inspirowane konkretną przestrzenią. Jej topografię poeta wprzega do różnych przemyśleń, wykorzystuje jej specyficzną fakturę, barwę, zapach. Jednak ma świadomość, że *ciągle wyruszamy z tych samych miejsc*. Taka jest bowiem metafizyczna natura rytuału wędrówki, nieuchwytna uniwersalność aktu wyruszenia w drogę. A może atawizm, który posiada dwa przeciwne wektory – marzenie, by pojechać w świat i pragnienie powrotu.

Wolak używa metafory w celu skondensowania skojarzeń. Treść jest wtórna wobec pojemności możliwych do przywołania w wyobraźni obrazów i znaczeń.

Oto serce pieśni Obietnica

*Przenosi nas na drugi brzeg Co połączy zagubione
brzegi Co ocali
tamto światło Żagiel prostuje się zbudzony nagle ze
snu*

*Słońce to kindżał klujący z góry Wystarczy iskra i
spłonimy (...)*

*W oddali białe granitowe domy jak Łazarze w
prześcieradłach*

świeć Muzyka leniwie rozwiesza rybackie sieci (...)

Łódkę na Jeziorze Galilejskim unosi pieśń

(„Na brzegu Jeziora Galilejskiego”)

Bogactwo przywołanych desygatów buduje bliskowschodni klimat, a odniesienia biblijne wskazują na konkretność miejsca w Ziemi Świętej. W licznie zaprezentowanych wierszach, których pojawiają się konkretne wywołane miejsca autor *Śladów i cieni* wchodzi w ich wyrazisty aromat, słowem poetyckim opowiada *genius loci*. Przypomina trochę Mickiewicza, dla którego egzotyka Krymu

stała się pretekstem do egzystencjalnej i historiozoficznej refleksji. Zabiegi formalne, które Wolak stosuje pochodzą z unowocześnionego ekwipażu międzywojennej awangardy. Ślady i cienie, za którymi podąża Lesław Wolak, to – przynajmniej jeśli chodzi o wspomniany przed chwilą aspekt – zatarte już ślady Przybosa, Czechowicza i Miłosza. Oczywiście to tylko niektóre ślady. Jest bowiem sporo wierszy napisanych kolokwialnie, naturalnym językiem wyznania, a nawet rzeczowym językiem reportażu. Natomiast treść wierszy jest jak obfity połów. Jest tu całe bogactwo odniesień. Poeta nurza się w tradycji i jak *łódka brodzi* w śródziemnomorskim pejzażu i bliskowschodniej historii. Jest więc tradycja biblijna, są akcenty mahometańskie i echa innych starożytnych wierzeń – perskich czy egipskich.

Lesław Wolak porusza się w tym skondensowanym od znaczeń świecie z dużą swobodą. Takie mamy wrażenie podczas lektury tych utworów. A przecież, żeby stworzyć ową iluzję lekkości, poeta – co widać – bardzo uważnie budował każde zdanie wiersza, by jego architektura wydawała się lekka i jasna, choć w rzeczywistości jest skarbnicą obrazów i znaczeń.

Tomikiem *Ślady i cienie* Lesław Wolak wpisuje się w wielowiekowy nurt literackiego diariusza z podróży oraz w szeroko pojęty obszar literatury śródziemnomorskiej. Okazuje się, że krajobrazy znad Morza Śródziemnego ze względu na ich egzotykę dla Polaka i bagaż wielowiekowej historii konstytuującej naszą cywilizację, są niewyczerpanym źródłem inspiracji artystycznej.

Otrzymujemy zatem tomik dojrzały, precyzyjnie przemyślany, owoc długotrwałej pracy nad słowem. *Ślady i cienie* Lesława Wolaka są potwierdzeniem wartości jego poetyckiego pisarstwa, podobnie jak poprzednie zbiory poetyckie. Szkoda jednak, że tak wartościowa poezja nie jest znana szerzej. W masie wydawanych dzisiaj tomików wierszy trudno dziś znaleźć rzeczy naprawdę wartościowe. *Księga wiatru*, *Naświetlanie nocy* to naprawdę dobra poezja, a *Ślady i cienie* to następny krok w twórczości jeleniogórskiego poety. I chociaż jego dorobek w sensie objętości wydaje się szczupły, to jest to poezja o znacznym ciężarze, bardzo dobra formalnie i piękna w czytaniu.

Jan Owczarek



Klaudia Wiercigroch-Woźniak

Rozmowa ze Stwórcą

Panie, nie udało ci się starość
dobrze o tym wiesz
zaglądam w wyblakłe spojrzenia starców
jak w okna opuszczonych domostw
tasuję pożółkłe zdjęcia z przeżytych dni
jakbym oglądała dawno temu
nakręcony film
patrzę na świat ze zdziwieniem
który oplata mnie
niczym pajęcza nici

wiem
jest początek
jest koniec
ale jestem rozczerwona metą
drżące dłonie jak
rodzynki zalane wrzątkiem
włosy bez koloru
usta bez wyrazu
bezwonne oddechy –
szepty duchów
nogi z waty nie chcą już iść
a bezlitosny czas nie znosi próżni

życie jak życie motyla
życie jak cztery pory roku

kto się raz urodził
umrze wiele razy
mówisz że kto wierzy nie umiera

Przepis na życie

do diabła z realizmem
choć raz
zakochać się do utraty sił
zrobić sobie tatuaż z jego imieniem
na piersi
upić się do utraty tchu
nosić kolczyk w nosie
pępku
wargach sromowych
wpleść tęczę we włosy
ubrać się wygodnie
wziąć gitarę
pióro
pędzel

śmiać się do bólu
iść po krętych ścieżkach
nie być echem –
żyć

Filozofia codzienności (115)



Filozofia codzienności ma pomagać w wyzwalaniu się z opinii funkcjonujących w społeczeństwie oraz z poglądów z pozoru niepodważalnych, bo utrwalonych mocą tradycji. Trwałą radość uczy czerpać ze świadomości, że należy się jeszcze do świata ludzi żywych. Należy czerpać szczęście z samego faktu istnienia oraz unikać spojżenia na zamierzone działania przez pryzmat czekającego kiedyś kresu, bo działa to destrukcyjnie.

Filozofii codzienności bliska jest idea holizmu, czyli pogląd o jedności wszechrzeczy. Pojmuje człowieka jako część składową całego Kosmosu oraz całej ludzkości, co powinno prowadzić do głębokiej tolerancji, a raczej jej wyższej formy – empatii. Myślą przewodnią filozofii codzienności jest niezgoda na rezygnację z własnego ja, niezgoda na to, by poddawać się rzeczywistości zamiast ją przekształcać. Człowiek może znacznie więcej zdziałać niż mu się to wydaje.

Filozofia codzienności zarysowana przeze mnie w kilkunastu książkach, opiera się na przemyśleniach oraz na przeżyciach i wrażeniach własnych, jak również na obserwacji. Bierze ona pod uwagę zdolność człowieka do przekształceń wewnętrznych, do wykraczania poza siebie urzeczywistnionego tu i teraz. Zawarte są w tej filozofii analizy rozmaitych stanów psychicznych człowieka mające znaczenie w życiu codziennym.

W filozofii codzienności nie funkcjonuje pojęcie potrzeb człowieka. Powodem tego jest ich ogromnie zróżnicowana klasyfikacja w literaturze naukowej. Jałowym zabiegiem byłoby więc przedkładanie jeszcze jednej propozycji.

Również kryterium dobra i zła pozostało poza dociekaniem z zakresu filozofii codzienności. Uważam bowiem, że dobro i zło należą do obszaru filozofii moralności, inaczej etyki. Teorii etycznych jest wiele. Moralści od wieków dyskutują na temat dobra i nie należy oczekiwać, by zostało ujednolicone stanowisko w tej sprawie. Mędrcy mają wątpliwości, więc należy podziwiać zuchwałość wybieranych często przypadkowo parlamentarzystów – którzy nie są wszak mędrcami – uzurpujących sobie prawo do bezwzględnych ocen w sferze moralności, co przekłada się na stanowienie prawa. Filozofia codzienności stara się apelować do poczucia słuszności oraz pod-

kreśla doniosłość zgodności poglądów z własnym ja. Filozofia codzienności ma na celu pobudzić własne refleksje Czytelników oraz rodzić wiarę w siebie.

Człowiek jest tym, czym sam siebie uczy. Nie przekreśla to wpływu jaki wywierają lektury, czy inni ludzie. To stwarzanie siebie przez siebie wymaga odwagi. Czerpać ją można z autorytetów, które spontanicznie uznajemy za własne. Autorytetem pomagającym w określeniu własnych drogowskazów życiowych może się stać ktoś znany niewielu osobom, bądź postać historyczna, czy literacka. Natomiast autorytety urzędowe, czyli te, które narzuca nam społeczeństwo należy pomijać, bowiem nikt nie ma prawa ograniczać nam naszej własnej wolności z którą przychodzimy na świat. Epoka renesansu, odradzając wartości epoki starożytnej, odrzuciła autorytety urzędowe.

Faktu, że jesteśmy wolni, nie można udowodnić, lecz należy przyjąć jako założenie, iż rodzimy się jako istoty wolne. Inaczej nie moglibyśmy uznać, że powinniśmy kształtować siebie i świat na miarę naszych tęsknot. Oczywiście wymaga to odwagi. Filozofia codzienności ceni zwykle ganiony upór. Uznaje go za pozytywny składnik naszej psychiki, który nie pozwala na rezygnację z obranej drogi mimo napotykanych trudności. Warto zmierzać śladem Don Kichota z uporem wyznającego wartości dla innych anachroniczne i śmieszne. Nie należy naśladować postawy Sancho Panso, który zajmował się tym, by wygodnie urządzić się w życiu.

Ta właściwa droga wiąże się nie tylko z podnoszeniem poziomu intelektualnego, ale przede wszystkim z doskonaleniem sfery emocjonalno-wolitywnej. W tym istotną pomoc może przynieść literatura piękna i sztuka. Współczesne nurty w sztuce uczyniły codzienność ośrodkiem zainteresowania. Przedmiotom codziennego użytku nadały rangę sztuki, gdy spoglądamy na nie z innej perspektywy niż użyteczność.

Mierz siły na zamiary – to wołanie Mickiewicza – jest szczególnie kultywowane przez filozofię codzienności. Nakreśla ona wizję człowieka czynu, odważnego, wrażliwego, twórczego, kształtującego własne ja oraz niepokojącego się o drugiego człowieka, także nieznanego sobie. Biorąc pod uwagę określenie człowieka jako jedynej istoty śmiejącej, niszczącej środowisko w którym żyje, filozofia codzienności wskazuje na niezbędność szacunku dla świata roślin i zwierząt.

Podkreśla, że człowiek nie jest lepszy lecz jedynie **inny** w porównaniu ze zwierzętami. Jesteśmy częścią składową **świata przyrody**, a także tworzonych przez nas **świata kultury**, ale powinniśmy zmierzać do **świata ideałów**. Niezgoda na rezygnację z własnego ja, to nakaz o charakterze powszechnym przenikający filozofię codzienności.

Nie należy pojmować funkcjonujących w filozofii codzienności wskazań w duchu skrajnego indywidualizmu. Świadomość, iż

każdy z nas jest częścią ludzkości na to nie zezwala. A ponadto człowiek kształtuje własne ja w drodze nawiązywania rozlicznych relacji z innymi jednostkami, nie tylko podążającymi tą samą drogą. W rezultacie z filozofii codzienności wypływa koncepcja społecznego indywidualizmu.

Wciąż powracają dyskusje o naukowości określonych dociekań i jednocześnie funkcjonują poglądy kwestionujące wartość dociekań naukowych. Sam zakres wiedzy naukowej budzi kontrowersje, bowiem przedstawiciele pozytywizmu filozoficznego – by podać ten przykład – podważają możliwość naukowych wypowiedzi o wartościach. Rugują, jak to określają, problematykę wartości z obszaru filozofii. Odmawiają jej także własnego przedmiotu dociekań, traktując filozofię jako sumę ogólnych wyników nauk przyrodniczych. Należy jednak cenić rozwijaną przez pozytywizm filozoficzny filozofię języka, która doprowadziła do precyzyjnego sposobu wyrażania myśli, by podać przykład dzieł Bolesława Gaweckiego, czy Tadeusza Kotarbińskiego.

Moim zdaniem, wiedzę dostarcza nam nie tylko nauka, ale także literatura piękna i sztuka. Znajduje w nich wyraz intuicja, wyobraźnia, wrażliwość i sposób przeżywania świata tych, którzy ją tworzą.

Wciąż nie możemy dotrzeć, mimo wielkich wysiłków, do poznania istoty zjawisk. Poznajemy otaczający nas świat przyrody dostosowany do budowy naszych zmysłów. Inna jego postać jawi się, na przykład, w poznaniu daltonistów – a inna w poznaniu tych, którzy dostrzegają barwę czerwoną i zieloną. A więc, jaki jest świat sam w sobie? My, ludzie, nie słyszymy ultradźwięków, ale rejestruje je ucho nietoperza. O wiele bogatszy byłby obraz świata, gdybyśmy byli wyposażeni w zmysł węchu taki, jakim natura obdarzyła psy.

Nie należy pomijać wiedzy o człowieku, którą osiągamy dzięki wielkiej literaturze. Fryderyk Nietzsche uznawał Dostojewskiego za najwybitniejszego psychologa. Wiedzę o człowieku przybliżyła literatura piękna, bowiem penetruje ona te zakamarki psychiki człowieka, które mogą być niezauważone przez wybitnych znawców z dyplomami. Intuicja kwestionowana przez wiele nurtów filozoficznych Europy pełni istotną funkcję poznawczą, a obdarzeni są nią wielcy pisarze.

Możliwości poznawcze człowieka są ograniczone. Na przykład, filozof niemiecki XX wieku, Oswald Spengler porównuje prawa naukowe z zaklęciami czarownika. W teoriach naukowych wyrażana jest prawda o świecie na miarę możliwości poznawczych człowieka. Teorie naukowe wyrażają stan świadomości człowieka.

cdn.

Maria Łayrakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie

Od czasu do czasu

– Jak ten czas szybko leci – odezwał się głos zza pieca w *salonie mych myśli*.

– Jak ten czas szybko płynie – odezwała się okienna framuga w *salonie mych myśli*.

– Jak ten czas szybko umyka – odezwał się złocisty kandelabr znad okrągłego stołu w *salonie mych myśli*.

– Nadchodzą nowe czasy – odezwała się błękitnooka i złotowłosa Wiosna wchodząc do *salonu mych myśli*.

– A stare czasy przechowują się w historycznych zakątkach naszej kronikarskiej pamięci – odezwał się filozof Pan Nietwórcz wchodząc do *salonu mych myśli*.

– A nie da się ukryć, że te stare czasy przylatują też do nas na pięknych skrzydłach poezji – rozwinął myśl filozofa asystent Daniel Spaniel wchodząc do *salonu mych myśli*.

– Czas ma zawsze bardzo dużo czasu, aby od czasu do czasu zjawić się w *salonie mych myśli* i spędzać z nami miłe chwile życia przy okrągłym stole wśród kolorowych słów i złotych myśli – zgodnie z prawdą odezwała się piwnooka jak heban czarnowłosa Luna, wchodząc do *salonu mych myśli*.

– A potem ten czas zabiera nasze miłe chwile życia do swej kieszeni i jakby nigdy nic pozostawia nas samych na pastwę losu – swój czasoprzestrzenny pogląd w tej sprawie zatroskanym głosem wyraził głos zza pieca.

W tym momencie dał się słyszeć wybuch śmiechu, którego sprawczynią była okienna framuga. W tym samym momencie złocisty kandelabr nad okrągłym stołem otoczył się płotem milczenia, aby nie ujawniać światu swego smutku.

– Dlaczego chcesz ukryć swój smutek przed światem – zapytał złocistego kandelabra swym stroskanym głosem głos zza pieca. Przecież cały świat o tym wie, co stało się w

Anglii 23 kwietnia czterysta lat temu, a mówiąc ściślej, nie co się stało, lecz kto pozostał nam sławne zdanie „być albo nie być – oto jest pytanie”.

– „To be, or not to be”, zawołajmy wszyscy razem – zawołała okienna framuga.

– To on się odbył wtedy, William Shakespeare, angielski poeta, dramaturg, aktor. Począł się w roku 1564, a odbył się w roku 1616. Mówiąc ściśle okienna framuga, on się wtedy niby odbył, bo naprawdę jest ciągle żywy i coraz bardziej rozkwita, jak ten stubarwny kwiat w donicy świata – stwierdził pogodnym głosem, głos zza pieca.

– Jak ten stubarwny kwiat prawie we wszystkich językach świata rozkwita i kwitnie pod postacią 38 sztuk teatralnych, które Shakespeare stworzył dla naszych ludzkich, samotnych serc, zabłąkanych i obłąkanych myśli między młotem a kowadłem, na scenie życia człowieka z widziałem. „Być albo nie być – oto jest pytanie” – tymi słowami zakończył swój wykład głos zza pieca.

– Iść albo nie iść – oto jest odpowiedź – paradnym głosem ogłosiła światu w salonie mych myśli Wiosna, gdy już wszyscy razem usiedliśmy przy okrągłym stole.

– Żeby nie było nam zbyt gorąco dzisiaj, 23 kwietnia, idąc śladami naszego Autora, powiem coś chłodnego:

Wędrowiec

*Noc się pokłoni gwiazdnym kłosem
śnieg się rozświeerka pod stopami
kiedy nadejdę wilczym tropem
od gór wysokich pod twój namiot*

*Nie lękaj się – też jestem człowiek
przynoszę sól o którą trudno
tylko mi pozwól ręce ogrzać
płonącym ogniem przed twą jurtką*

*I znowu pójde mroźnym szlakiem
na śniegu płozy ślad odcisną
i znowu wiatr zawieje ślady
po nieznajomym z wielką blizną*

– powiedziała Wiosna mocnym głosem, kichając przy tym wiosennie.

– Żeby nie było nam zbyt chłodno, dzisiaj, 23 kwietnia, idąc śladami naszego Autora, powiem coś ciepłego:

Biała plaża

*Białą plażą idziesz miła
cień za tobą płynie w cytrze
i we włosy blaski wpina
od tęczyowych rozmaitsze*

*A ty białym piaskiem idziesz
w dal serdeczną zamysłona
jak pragnące niewolnice
nad zatoka wszystkich sonat*

*Morzem fala chodzi drobna
wiatr się falą opiekuje
w liry kształt zakłete biodra
twoje są jak u bogunek*

*Czegoż więcej dać ci mogę
w taką porę moja miła
chyba serce w twoje ręce
żebyś w nim się zamysli*

– powiedział Daniel Spaniel i zdjął z siebie marynarkę, bo było mu na białej plaży zbyt gorąco.

– Iść albo nie iść po białym śniegu, po białym piasku z czarnym humorem i z białą laską. Czarno na białym, musisz być doskonałym. Ujmując rzecz całą, musisz być doskonałą – w ten sposób filozof Pan Nietwórcz mocą podkreśla równowartość dwóch osobowości, męskiej i żeńskiej. Wstaje z miejsca i podchodzi ku Wiosnie. Bierze ją w ramiona i prosi: zróbcie nam fotografię do „Gazety Kulturalnej”.

I tę prośbę spełnia złocisty kandelabr. Po pewnej chwili, jak ulotka zlatuje na stół piękna czarno-biała fotografia. Wiosna w ramionach filozofa.

– Czarno na białym, musisz być doskonałym. Ujmując rzecz całą, musisz być doskonałą – śpiewają razem w salonie mych myśli dwie osobowości, okienna framuga i głos zza pieca.

– Coś pięknego, piękna strofa, Wiosna w ramionach filozofa – wyraził swój zachwyt złocisty kandelabr znad okrągłego stołu.

P.S.

Coś pięknego

*Jestem poetą
układam wiersze z polskich słów
a co ja wam
mam włożyć do głów?
że Homer mówił coś pięknego
że Dante pisał coś boskiego
że ja nad Odrą we Wrocławiu
słyszę jak mówią dziś I love you
zamiast po polsku po angielsku
i tak nam się zmienia świat po komputersku
daj se pan spokój drogi panie
wyraża sąsiadka swoje zdanie
jestem poetą słowo daję
układam wiersze jak tramwaje
które nas wiozą na przystanki
ja też wysiądę do kochanki
żeby się spełnić całkowicie
w teatrze mówią: zakończył życie
i już na scenę nie powróci
tak wiersz się kończy jak każdy z ludzi
byłem poetą przez pewną chwilę
w polskim tramwaju bezpłatny bilet
i znowu będę
będę poetą którymś z kolei
jadąc tramwajem do Pompei
a na przystanku Homer czeka
i tak jak ja, udaje greka*

POEZJA

Kacper Bartczak, *Wiersze organiczne*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Spółdzielnia Inwalidów Fajne Chłopaki. Projekt typograficzny Krzysztof Miniak. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2015, s. 54.

Andrzej Bartyński, *Uczta motyla*. Redakcja Kazimierz Burnat. Projekt okładki Leszek Nowak. Wydawnictwo Eurosystem, Wrocław 2016, s. 66.

Christoph W. Bauer, *Wiersze wybrane*. Przełożyła Sława Lisiecka. Projekt okładki i projekt typograficzny Tomasz Pawluczuk Nylon Studio. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2015, s. 74.

Kazimierz Burnat, *Sycenie nieznanym*. Fotografia na okładce Andrzej Walter, fotografia wewnątrz książki Sława Kładoczn-Gryta. Wydawnictwo Eurosystem, Wrocław 2016, s. 80.

Jan Darowski, *Poezje*. Posłowie Jan Wolski. Opracowanie graficzne Janusz Górnicki. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2015, s. 430.

Leszek Dembek, *Aporia (szczętki)*. Opracowanie graficzne serii i okładki Zbigniew Jahnz. Fotografia na okładce Leszek Dembek. Zdjęcie na lewym skrzydełku okładki Magdalena Sowińska. Rysunki Paweł Kucharski. Seria *akcent*. Wydawnictwo Hogben, Szczecin 2015, s. 120.

Danuta Gałęcka-Krajewska, *Obiecany park rozrywki*. Opracowanie graficzne Krystyna Bukowczyk. Projekt okładki Magda Kuc. Agencja KUBA, Warszawa 2015, s. 62.

Danuta Gałęcka-Krajewska, *Ślady*. Opracowanie graficzne Krystyna Bukowczyk. Projekt okładki Magda Kuc. Agencja KUBA, Warszawa 2015, s. 42.

Katarzyna Georgiou, *Komu mruczy kot*. Posłowie i redakcja Kazimierz Burnat. Fotografie Katarzyna Georgiou. Wydawnictwo Eurosystem, Wrocław 2016, s. 80.

Barbara Gruszka-Zych, *Przyrząd do uzdatniania wody*. Projekt okładki Jerzy Michalski. Zdjęcia Dorota Lubocka. Wydawnictwo ASTRUM, Wrocław 2015, s. 36.

Kristina Hočevár, *Obłoki i cięcia zebrane*. Przełożyła Joanna Pomorska. Projekt okładki i projekt typograficzny Tomasz Pawluczuk Nylon Studio. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2015, s. 104.

Beata Patrycja Klary, *Obiekty totemiczne*. Projekt okładki Konrad Kowalczyk. Zdjęcia wewnątrz książki Beata Patrycja Klary. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 64.

Jakub Kornhauser, *Drożdżownia*. Okładka i koncepcja graficzna Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 106. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2015, s. 66.

Dawid Kraszewski, *Wiersze na porost brody*. Projekt okładki Tadeusz Burniewicz. *Biblioteka Autorów Warmii i Mazur*, seria 4, tom 3. Stowarzy-

szanie Pisarzy Polskich Oddział Olsztyn, Olsztyn 2015, s. 56.

Erwin Kruk, *Nieobecność*. Projekt okładki Tadeusz Burniewicz. *Biblioteka Autorów Warmii i Mazur*, seria 4, tom 1. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Olsztyn, Olsztyn 2015, s. 120.

Joanna Matlachowska-Pala, *A wróble już to wiedzą*. Projekt okładki Robert Suchiński. Wydawnictwo Rudy Kot, Opole 2015, s. 48.

Michał Panke, *b*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Agnieszka Sowała-Kozłowska. Projekt typograficzny Magda Ebert. Seria *Forum Młodej Literatury*, tom 4. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2015, s. 56.

Utz Rachowski, *Miss Żuki, czyli Ameryka jest całkiem blisko! Wiersze wokół pewnego psa*. Przełożyła Ewa Szymani. Przedmowa Adam Zagajewski. Posłowie Ewa Matkowska. Opracowanie graficzne Barbara Jankowska-John, Zofia Matkowska. Zdjęcie *Ślady* Ewa Matkowska. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2015, s. 104.

Marcin Sendek, *Lamety*. Projekt okładki Wojtek Świerdzewski i Marcin Sendek. Projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 136. Biuro Literackie, Wrocław 2015, s. 60.

Zbigniew Smoczek, *Oddział zamknięty. Zapiski pacjenta*. Okładka, ilustracje, opracowanie graficzne Andrzej Tomczak. Zbigniew Smoczek, Drukarnia Kadruk, Szczecin 2015, s. 64.

Jerzy Suchanek, *Wduszenie*. Projekt okładki i stron tytułowych WiS Opcjon. Na okładce wykorzystano fotografię Jana Suchanka. Fotografia autora na skrzydełku Sylwia Dwornicka. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 124. Instytut Mikołowski, Mikołów 2015, s. 84.

Konrad Sutarski, *Jakkolwiek już późno*. Zdjęcia na okładce i wewnątrz tomu Peter Sereidiuk. Portret Konrada Sutarskiego na IV stronie okładki z archiwum poety. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 121. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 80.

Leszek Szaruga, *Fluktuacja kwantowa*. Fotografia na i stronie okładki Jarosław Taran. Portret Leszka Szarugi na IV stronie okładki z archiwum poety. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 120. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu” Sopot 2015, s. 56.

Maud Vanhauwaert, *Jesteśmy równolegli*. Przełożył Sławomir Paszkiet. Projekt okładki i projekt typograficzny Tomasz Pawluczuk Nylon Studio. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2015, s. 84.

Aivaras Veiknys, *Epoka kamienia*. Przełożyła Izabela Korybut-Daszkiewicz. Projekt okładki i projekt typograficzny Tomasz Pawluczuk Nylon Studio. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2015, s. 58.

David Vikgren, *Słowa*. Przełożyła Justyna Czechowska. Projekt okładki i projekt typograficzny Tomasz Pawluczuk Nylon Studio. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2015, s. 58.

Miłosz Waligórski, *32 ślady ku*. Zdjęcie autora Dragana Waligórskiego. Na okładce obraz Arkadiusza Sylwestrowicza, z cyklu *Oś*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Forma* 21. Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin-Bezrzecze 2015, s. 44.

Bohdan Zadura, *Już otwarte*. Projekt okładki Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 137. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 52.

Dominik Piotr Żybertowicz, *Żaglowce*. Okładka i koncepcja graficzna Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 107. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2015, s. 82.

PROZA

Gavin Extence, *Lustrany świat. Melody Black*. Przełożył Łukasz Małeck. Ilustracja na okładce Fumio Watanabe. Zdjęcie autora na okładce Bartłomieja Kwasek. Opracowanie okładki na podstawie oryginału Robert Kleemann. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 316.

Dominik Flaszyński, *Gratuluję! Wygrał pan w Loto*. Obraz na okładce Jarosław Eysymont. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski Seria *kolekcja elewatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin 2015, s. 94.

Darek Foks, *Historia kina polskiego*. Zdjęcia Darek Foks. Projekt typograficzny i opracowanie graficzne Wojtek Świerdzewski. Seria *Proza*, tom 34. Biuro Literackie, Wrocław 2015, s. 80.

Mirosław Gabryś, *Na szczęście umrzemy*. Malarstwo Piętarz Claesz. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2015, s. 226.

John Irving, *Aleja tajemnic*. Przełożyła Magdalena Moltzan-Małkowska. Projekt okładki Joanna Strękowska. Prószyński i S-ka, Warszawa 2016, s. 512.

Elżbieta Isakiewicz, *Lekkie halki czarownic i inne mikroopowieści*. Obraz na okładce Albert JosephPenot. Projekt okładki Marcin Włoszczyk. Zdjęcie autorki Sandra Kielek. Wydawnictwo Perspektywa, Ostrów Wielkopolski 2015, s. 152.

Agnieszka Jelonek-Lisowska, *Babidło*. Obraz na okładce Jarosław Eysymont. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *kolekcja elewatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin 2015, s. 42.

Marc Levy, *Ona & On*. Zdjęcie na okładce Emmy Lou Virginia. Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2016, s. 320.

Artur Daniel Liskowacki, *Ulice Szczecina (ciąg bliższy)*. Zdjęcie autora Jan Surudo. Zdjęcia na okładce i w książce, projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka* 15. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezrzecze 2015, s. 218.

W „Tygodniku Powszechnym” (numer 19/2016) wywiad z pisarzem **Eustachym Ryłskim**:

(...) **Arek Gruszczyński**: – 80 proc. badanych uważa, że prawo powinno chronić twórcę.

Eustachy Ryłski: – To pokrzepiające, choć między deklaracją a praktyką jest przepaść. Prawo autorskie wprowadzone w Polsce w 1994 roku zakłada podmiotowość twórcy, a nie odbiorcy. W swoich intencjach jest więc słuszne, ale jak każde prawo – jak powtarza dyrektor generalny w ZAiKS – ma tendencje do erozji. Gdybym miał je odnosić do swoich interesów – pomijam moje zaangażowanie w sprawę – to nie czuję się pokrzywdzony.

Niezależnie od tego, że jestem autorem książek, napisałem również sztuki dla teatru telewizji. TVP kupowała ode mnie teksty za równowartość 15 tys. zł. Suma niekompatybilna z ich wartością. Jednak zarówno ja, jak i emitent wiedzieliśmy, że nie będą to jedyne pieniądze, jakie przy tej okazji zarobię. Kontrakt był jasny: jeżeli sztuka się zweryfikuje, to pojawią się powtórki, a za nimi tantiemy. Tak się złożyło, że z moich sześciu sztuk dwie na powtórki nie zasłużyły. Mogłem je napisać efektywniej, sugestywniej, sprawniej. Pozostałe miały powtórzenia, jedna z nich nawet kilkadziesiąt. Zarobiłem wielokrotność podstawowego wynagrodzenia. Musiałbym mieć źle w głowie, gdybym twierdził, że czuję się tym skrzywdzony. Prawo autorskie zadziałało. Opinia, że prawa twórców są łamane wszędzie, przy każdej okazji i przez wszystkich, jest równie absurdalna jak ta, że są one zawsze przestrzegane.

– **Znajdujemy się jednak w stanie anomii, czyli w sytuacji, kiedy zostaje zachwiany dominujący dotąd system norm i wartości, ponieważ nie mogą być one reprezentowane ze względu na zmianę warunków społecznych ich funkcjonowania.**

– Ale dekalogu łamać nie wolno i w konsekwencji nie warto, co by się tam miało zmienić albo i nie zmieniać.

– **A co w sytuacji, kiedy muzyka czy książka jest inspiracją dla innego dzieła?**

– Istnieje prawo cytatu i dozwolonego użytku osobistego. Każdy ma prawo do korzystania z czyjegoś dorobku w ramach obowiązującego prawa. Jego nieprzestrzeganie bierze się z przekonania, że dzieło nie jest produktem materialnym. Czyli jest produktem ilu-

zorycznym. A jeżeli tak, to niemożliwym do wycenienia, a skoro niemożliwym do wycenienia, w przeciwieństwie do lodówki czy samochodu, to po co za nie płacić. Pogląd, że każdy powinien mieć nieograniczony, darmowy dostęp do własności intelektualnej, wyrażany często przez dziennikarzy, administratorów kultury, polityków, więc ludzi mających wpływ na rzeczywistość, jest niemoralny i, w istocie, idiotyczny.

– **Artyści powinni być dobrze wynagradzani, z tym nie ma dyskusji.**

– Powiedziałem to półtora roku temu podczas spotkania z europosłami w Brukseli: każdy fakt artystyczny – powieść, wiersz, esej, dramat, scenariusz, koncert, dzieła wizualne, architektura – gdyby był wyłącznie rezultatem chwilowej iluminacji, Bożego tchnienia, mógłby być uznany za coś bezinteresownego. Na zasadzie; łatwo przyszło, łatwo poszło. Rzeczywistość jest pospolitsza, twórczość potraktowana serio bierze się z ciężkiej, czasami wręcz katorżniczej pracy, o której większość z tych, do których to mówiłem, nie miało pojęcia. Więc jeżeli nie ma szacunku do talentu, dobrze by go mieć do wysiłku. Wie pan, podczas spotkań autorskich czytelnicy czasami pytają: dlaczego artyści mają dostawać pieniądze za coś, co robiliby i bez nich?

– **I co Pan odpowiada?**

– Autorzy muszą z czegoś żyć. By wykonywać tę robotę, trzeba było wcześniej w siebie potężnie zainwestować, a to ma wymierne koszty. Bo korzystając z pracy twórców, odnosi się korzyść, którą należy się z twórcą w minimalnym przynajmniej zakresie podzielić. Bo kultura jest ważna. Identyfikuje się poprzez nią cywilizację, epoki, wydarzenia. Nie jest żadnymi peryferiami, a samym centrum. „To istnienie sztuki dowodzi, że świat ma sens” – napisał Gomez Dávila, jedna z ikon myśli konserwatywnej, a nawet reakcyjnej, więc daleki od lewicowej czułościowości. (...)

W „PlusMinus” (numer 19/2016) wywiad z **Krzysztofem Jaryczewskim**, muzykiem rockowym:

(...) **Jacek Cieślak**: – **Po odejściu z Oddziału Zamkniętego z wszystkimi muzykami, którzy go tworzyli i tworzą, nagrywał pan i koncertował. Tymczasem z Wojciechem Łuczajem-Pogorzelskim, jednym z filarów pierwszego składu, spotka się pan w sądzie, a rzecz dotyczy prawa do nazwy.**

– Proponowałem kolegom pokój. Do nagrania mojej płyty zaprosiłem wszystkich najważniejszych muzyków OZ, w tym moich następców: Roberta Janowskiego, Jarka Wajka, Czarka Zdybałę, Zbyszka Bieńka, który jest teraz w moim zespole Jary OZ. Grałem też z Wojtkiem Pogorzelskim. To dla mnie oczywiste, że do stworzenia płaszczyzny porozumienia potrzebna jest zgoda dwóch stron. A Wojtek, mam wrażenie, traktuje mnie jak wroga, kogoś, kto się ze mną zadaje, automatycznie też.

– **Rozmawiał pan z Pogorzelskim?**

– Przez dwa lata próbowałem się kontaktować. Spotkaliśmy się dopiero w towarzystwie prawników. Ale nie ma co narzekać. Jeśli są różne perspektywy dotyczące kwestii praw autorskich do nazwy i logo zespołu, niech ocenią to kompetentne organy, czyli sąd. To nie przeszkadza mi w tworzeniu muzyki z osobą, z którą jestem w sądowym sporze, oczywiście na z góry ustalonych zasadach, żeby nie powtarzać dawnych błędów. Jedno drugiego nie wyklucza.

– **Piękny przykład.**

– Ale nie wszyscy to rozumieją. Mimo to wierzę, że następną płytę nagramy razem. Ja i Wojtek Pogorzelski, jako Oddział Zamknięty. To przesądzone, choć Wojtek może jeszcze nie wiedzieć, że tak będzie, bo ludzie z czasem dojrzewają do porozumienia. Gdy się ktoś okopuje we własnych poglądach, nie ma szansy na żaden ruch. To dotyczy kilku innych polskich zespołów – De Mono, Kombi i Kombii.

– **Z czego takie spory wynikają? Z konfliktu charakterów czy walki o pieniądze?**

– Moje doświadczenia skazują, że zawsze chodzi o kasę. Wcześniej czy później dociera do zainteresowanych, że pieniądze są jednak ważne. Nawet do takich jak ja kiedyś, choć traktowałem pieniądze jako zło konieczne; Szacunek do marki też się wiąże z pieniędzmi. Na początku chodziło mi o to, że prostujemy kwestie praw autorskich w ZAiKS i zostawiamy Wojtkowi prawo do nazwy. Później, kiedy zobaczyłem, jak traktowana jest marka Oddział Zamknięty, jak zespół funkcjonuje, zmieniłem zdanie. Trzeba szanować markę, którą się współtworzyło, bo to nasz dorobek. Każdy ma swoją hierarchię wartości, a ja nie mogę się zrzec prawa do tego, co moje. Nie roszczę sobie praw wyłącznych, ale chcę mieć w nich swój udział. (...)

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.